



OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

(C I A G D A L S Z Y.)

IX.

Kazanie księdza przeora.

Najważniejszym faktem dziejów Polski o byt wojującej jest niezawodnie—konfederacja barska—najważniejszym i najpiękniejszym... jak wiosna w naturze, jak poranek w dniu, jak pierwsza nuta słowika rozpoczynającego wic gniazdko, jak pierwsze natchnienie człowieka, w którego duszy płonie ogień boży. Był to natchnieniem...

Naród, posiadający wszystkie życia i zdrowia warunki, zachorował. Rozchorował się na piękne. Wszystko go bolało, głowa, serce, nogi, ręce, całe ciało wewnątrz i zewnątrz.

Zeszło się około łoża chorego lekarzy mnóstwo. Zastanawiali się nad jego chorobą i radzili.

Ale lekarzom chodziło przedewszystkiem o honorarja, o to, ażeby chory potrzebował rad ich jak najdłużej. Zatem jeden radził mu na głowę, drugi na serce, trzeci na nogi, czwarty na ręce, inni na palce, paznogie, łokcie, kolana, zęby, oczy, uszy etc. etc.

To samo dzieje się i dziś niestety!...

Pomiędzy lekarzami ex professo nie znalazł się ani jeden, coby zechciał powiedzieć: ty się możesz uleczyć sam, „wstań, weź łożo twoje i pójdz.”

Zesz. X.

Znalazł się taki po za gronem lekarzy. Był to człowiek niepokaźny i niepoczesny, a pokorny, że spoglądano na niego przez ramię i pozwalano sobie ciskać mu w oczy obelgi... które on znosił, pomimo że przy karabeli chodził...

Dziwną, niewytłumaczoną była ta jego pokora.

Pozwalał z siebie szydzić, pozwalał się lżyć, pozwalał siebie kutwą nazywać, dlatego, że pracował, grosze zbierał, fortunę mnożył i nie używał jej po szlachecku. Przebaczał obelgi i urazy wszystkim i każdemu; pochylał głowę jak człek małego ducha a zajęczego serca; nie widziano go nigdy rozgniewanym; aż po raz pierwszy rozgniewał się, kiedy się znalazł oko w oko z wrogiem ojczyzny.

Wówczas było mnóstwo tych, co z niego przedtem szydzili, i wszyscy byli pokorni; rozgniewanym był tylko on... jeden, z podniesioną głową był tylko on... jeden.

Od tej chwili przestano go lekceważyć. Był to znak, że w narodzie nie wygasło do szczętu poczucie godności narodowej. Szlachcice podawali sobie z ust do ust:

— Józef Puławski postawił się ostro Repninowi...

I Józefowi Puławskiemu, temu co nie stawiał się jako lekarz professionista a tylko uczuć zdołał obrażę narodową, przyszło wymówić słowa zbawienia:

— Wstań, weź łożo swoje, narodowy krzyż... i pójdz...

Stało się to w Barze, małym podolskim miasteczku, dnia 29. lutego, roku 1768.

Zwołana szlachta nie wiedziała dokładnie, po co zwołaną została.

Powiedziano jej o potrzebie ratowania ojczyzny.

Od śmierci Władysława IV. wyrazy te pokolenia pokoleniom w spadku przekazywały. Pod tem hasłem odbywały się każdy sejm, każdy zjazd, każdy sejmik, każda konfederacya, każde z okazji zebranie, każda niemal burda, i hasło to straciło na wartości, spowszedniało. O ratowaniu ojczyzny nagadano się do syta przez lat sto dwadzieścia. Kaznodzieje obrabiali ten przedmiot na temat kazań księdza Skargi, sejmowi i sejmikowi mowcy według natchnienia wypływającego z okoliczności. Każdy na każdym zjeździe dowiadywał się, o czem wiedział, że ojczyznę ratować potrzeba, składał tę wiadomość *ad acta*, i oglądał się za *corona opus*, a tą był traktament. Zjazd bez traktamentu był rzeczą chybioną, a traktamentu być nie mogło, gdzie nie było pana.

W pracach przedwstępnych przygotowania umysłów, prowadzonych głównie przez Józefa Puławskiego i jego synów przy pomocy gorliwej Michała Krasińskiego, brata biskupa, dawanem było jako sztandar nazwisko Karola Radziwiłła, o którego traktamentach krążyły opowiadania, jak o czynach heroicznych. Był więc to sztandar pociągający.

— Kto gości szlachtę *honeste*, ten kocha ojczyznę!

I na odwrót:

— Kto kocha ojczyznę, ten gości szlachtę *honeste*.

W imię przeto Radziwiłła wezwana zjechała się do Baru w liczbie kilkuset. Historia nie podaje cyfry dokładnej, a zestawiając odnoszące się do tego szczegółu podania, tę można powziąć pewność, że ogólna liczba zgromadzonych nie była mniejszą jak trzysta, nie przynosiła tysiąca dwiestu. Lecz jest to rzecz pomniejszej wagi. Mała miejscina zaroila się raptem kilkomaset jezdcami, uzbrojonymi w karabele, szturmaki, pistolety i łyżki. Ten ostatni oręż zaczepnej natury niezapomnianym został przez nikogo. Ten i ów zapomniiał pistoletów lub szturmaka; lecz nikt karabeli, będącej *insignium* szlactwa, i nikt łyżki, będącej konieczną do przypuszczenia szturm do miski, szturm, o którym nikt nie wątpił, bo aczkolwiek Radziwiłła *in propria persona* nie było, to był ktoś, co go wyręczał, co imieniowi tak dostojnego męża nie ośmieliłby się ubliżyć i szlachty nie nakarmić i nie napoić. Tego nikt ani przypuszczał. Byłoby *horrendum*, na któreby cała Rzeczpospolita krzyknęła.

Więc poczawszy od godziny dziewiątej przed południem szlachta do Baru przybywała a przybywała. Miarkowali tak, ażeby przybyć na dziesiątą i trafić na mszę. Ten zatem co był oddalony o milę, wyjechał z domu o dziewiątej, ten co o mil pięć, o piątej, a kto nie miał

zegarka, o pianiu kogutów, i układali sobie program dnia według zwyczajów tradycją uświęconych. Pomiędzy dziesiątą a jedenastą msza, o dwunastej obiad, a po objęciu obrady.

— *Plenus venter studeat libenter...* Radziwiłł nie dopuściłby się tego, ażeby miał szlachciców wciągnąć na wysłanie nad zbawieniem ojczyzny na czczo.

Około dziesiątej tedy miasteczko było już pełnem. Konie nie zmieściły się po żydowskich zajazdach, więc stały uwiązane bądź do płotów bądź do kołków i gryzły siano pod okiem pacholków. Jaki taki pacholka nie miał, więc zostawił swoją szkapę pod strażą opatrności, występującej pod postacią szlacheckiego honoru, nie pozwalającego na kradzenie cudzych koni. Wyszachrować to i w owych czasach wolno było, bo z owych to czasów datuje przysłowie: „od żłobu do żłobu, kto kogo oszuka to i chwala Bogu“; ale ukraść, broń Boże!

Pomiędzy przybyłymi było kilku naszych powieściowych znajomych: pan Kwaśniewski, pan Kociuba, pan Cholewa i większa połowa tych, których widzieliśmy w Olchowieckiej karczmie.

Pan Kwaśniewski był markotny, nie powiodło mu się bowiem wstrzymać wybuch; pan Kociuba milczał; pan Cholewa dziwił się i zdziwienia swego udzielał sąsiadom, znajomym i przyjaciołom.

— Powiedźcie mi, waszmoście dobrodzieje, co to znaczy, że się z żadnego komina nie kurzy?

— Tę samą obserwację i ja zrobiłem—odezwał się szlachcic z fioletowym nosem, któremu słoma z butów wylaziła.

— I ja... i ja... i ja... — podchwyciło kilku innych.

— Gotowi nas wędlinami zbyć — rzekł Cholewa — a za to... dziękuję... ja wędliny nie lubię, tylko albo przed barszczem albo w barszczu...

— Jest *periculum in mora* — zauważył szlachcic z fioletowym nosem — ja jednakże nie przypuszczam, żeby się to miało na półgasku i kielbasach skończyć, boć to przecie zjechaliśmy się *in nomine Radziwili*.

— Tak... tak — potwierdzili inni.

Obserwacje wszakże nie wróżyły nic pomyślnego. Szlacheckie wzroki zwracały się wciąż ku dworkowi, który stał na wzgórzu, otoczony rowem i opalisadowany, i którego most zwodzony był spuszczone. Na tym dworku kominy sterczały jakby dla formy. Nietylko kłęby dymu, ale najmniejszy opar z nich się nie wydobywał. A oprócz tego dworku w całym Barze nie było innego budynku, w którymby można kuchnię na tysiąc blisko ludzi założyć. Ten i ów głową kręcił i oczywiście wierzyć nie chciał.

— Nie, to być nie może, ażeby Radziwiłł...

I nie kończył dopowiedzenia myśli, która się monstrualną wydawała.

A jednakże te milczące kominy! Była w nich zagadka, trudna do rozwiązania.

Sygnaturka odezwała się na wieży przy klasztorze Karmelitów. Szlachta pogarnęła się do kościoła, oglądając się na zagadkowe kominy. Oglądała się jeszcze z kościelnego kruzganka, a znalazło się niemało takich, którzy się i w czasie nabożeństwa wysuwali i spoglądali.

Wysuwanie się to i spoglądanie trwało póty, póki ksiądz przeor nie wszedł na kazalnicę. Zrobiło się w kościele cicho, jakby makiem zasiał. Ksiądz przeor, znany w okolicy z surowych obyczajów, nigdy przed tem nie kazał. Powiadano, że niema daru wymowy, a w istocie rzeczy nie umiał makaronizmami szpikować kazania ani układać je na wzór cycerońskich mów. Dlatego też zrobiło się cicho. Każdy zapytał się w duchu:

— Co to będzie?

I odpowiadał sobie:

— Albo coś bardzo dobrego, albo...

I uwaga wszystkich ześrodkowała się na kazalnicy.

Ksiądz przeor ukląkł, pomodlił się, wstał, utarł nos w kraciatą chustkę i rzucił w tłum zapytanie:

— Czy wiecie wy, po coście się do Baru zjechali?... Może myślicie że po to, aby się najeść, napić, nagardłować i do domu wrócić?... Otóż, zaprawdę powiadam wam: kto tak myśli, ten się grubo myli... Kazałem w całym Barze wszystkie ognie pogasić. Nie dostaniecie ani łyżki strawy, ani tyckiego — na palcu pokazał — kawałeczka chleba, ani kropli napoju.

— Masz tobie! — jednozgodnie pomyślała szlachta, wyjąwszy zapewne kilku szlachciców, co w kolatorskiej ławce bliżej ołtarza siedzieli i pomiędzy którymi świeciła siwizną głowa Puławskiego.

Przemówienie to byłoby sprawiło oburzenie; lecz wypowiedzianem było tak uroczyście, z takim ogniem, tak nakoniec ciśniętem zostało wręcz w oczy, że każdy, z powodu właśnie horroru, jaki się w słowach księdza zawierał, powiedział sobie w duchu:

— Muszą to być nie przelewki...

I doznał uczucia niby bojaźni Bożej.

Każdy też sobie odchrząknął, jakby w celu zakarbowania na sumieniu tego uczucia.

Ksiądz mówił dalej:

— Nie chrząkajcie, ale pomyślcie sobie, że od stu pięćdziesięciu lat, tu w tym kraju gada się o potrzebie ratowania ojczyzny, a ojczyzna coraz bardziej upada i przyszła już do tego, że nie jesteśmy gospodarzami we własnym domu. Zkąd to pochodzi? co to znaczy?... Oto gada się, ale się nie robi... Zamiast roboty objadacie się i opijacie... Czy jeżeli któremu z was matka, żonka albo dziecko leży na śmiertelnej pościeli, przychodzi mu do głowy miska lub dzbanek?... A toć to przecie ojczyzna jest czemś większem i ważniejszym, aniżeli matka, żonka albo dziecko! Czy nie tak?

Ksiądz ujął się rękami za brzegi kazalnicy, wychylił

się naprzód i pytającym wzrokiem poprowadził po ciżbie. Ciżba milczała.

— Owóż kiedy tak, to trzeba żeby się już raz to paskudztwo skończyło... Nie dostaniecie nic! Ja wiem, ckli wam w żołądkach, ale, o! jakże ckli w duszy tej ojczyźnie, którą deptają nogami Moskale, do której się przypytują Niemcy, którą za baj-bardzo mają Turcy, Szwedzi, Tatarzy, którą wy sami poniewieracie, a którą potrzeba nakoniec dźwignąć z łoża boleści! Bo to wobec ludzi wstyd, wobec potomstwa hańba, wobec Boga zbrodnia, nie dbać o tę, przy której Bóg was na straży postawił... Cóż z was za strażnicy? Nosicie karabele przy boku na to, ażeby jeden drugiemu uszy obcinał; zjeżdżacie się na to, ażeby jeść, pić i gardłować... Dość tego!... Tu w Barze...

Tu ksiądz palcem w kazalnicę pukał, a pukanie księdza rozlegało się po kościele niby grzmoty niebieskie:

— Tu zawiąże się początek roboty... Tu w Barze... rozpocznie się dzieło zbawienia Polski, do którego przystąpićie na trzeźwo... Tej najpierwej ofiary domaga się od was ojczyzna... Albowiem pamiętajcie sobie i waszym synom wnukom i praprawnukom tę prawdę w spadku przekażcie: do takiego dzieła, jakim jest zbawienie Polski, potrzebnym jest umysł trzeźwy, nie zamącony nietylko trunkiem, ale oraz ani samolubstwem, ani pychą, ani łakomstwem, ani lenistwem, ani żadnym grzechem, żadnym głupstwem, żadnym szlacheckim bzikiem, żadnym jurystowskim wykrętem, żadnym względem na samych siebie, żadnymi podszeptami obcych, żadną obawą, niczem co gorszy, bałamuci, od pracy dla ojczyzny odciąga i do próżniactwa prowadzi... Przyniesiecie więc najprzód ojczyźnie w ofierze trzeźwość... ale na tem nie koniec... Poniesiecie jej w ofierze wszystko, nie sobie nie zostawiając, i nic jej na obwinienie palca nie wykradając... bo wszystko co macie, z ojczyzny jest, a ojczyzna z Boga jest... A zatem kto skąpi ofiary ojczyźnie choć na paznokiec, kto to co jej się należy oddaje na rozpustę, karciarstwo, obżarstwo, opilstwo, mody i fatalaszki, świętokradcą jest... Kto przeto z was tu obecnych nie czuje się zdolnym poświęcić na zbawienie ojczyzny swoich narowów, swego czasu, swego mienia i swego życia, kto nie czuje się zdolnym żywcem dobrowolnie w ogień za nią skoczyć i spalić się jak komar w świecy:—

Tu ksiądz ręką z giestem rozkazującym na drzwi kościoła ukazał —

— Precz ztąd!... precz z Baru!

W ciżbie grobowe panowało milczenie. Szlachcice czuli się jakby do ziemi przygniecionymi.

W tem nagle kaznodzieja ton zmienił z grzmiącego i rozkazującego na proszący. Ręce złożył i do tłumy je wyciągnął:

— Więc proszę... zaklinam: kto ma wzgląd na samego siebie, komu żal za wyżerką i ciepłym piecem, niech się ztąd oddali... niech idzie... niech, jeżeli mu o dostatki

chodzi, wie o tem, że Moskale takich, co polskiej sprawy odstępują, hojnie wynadgradzają; ojczyzna zaś nie da im nic, wyjąwszy piędzi ziemi na grób, a zabierze wszystko... Proszę was, zaklinam, wynieście się ztąd, wynieście się po cichu z kościoła i z miasteczka; oszukano was tu... wezwano was w imię Radziwiłła... spodziewaliście się zastać kotły i beczki... oszukano was... macie słuszny powód obrazić się, że złamano względem was zwyczaj stary, i iść i szydzić z nas, co tu zostaniemy i...

Tu rękę i głos znów podniósł:

— W słuch całemu światu krzyknemy, że idziemy walczyć za ojczyznę!...

Ksiądz zamilkł na chwilę. Z tłumu nikt ani się ruszył.

— Więc...

Zwrócił się raptem ku ołtarzowi, ukląkł i w głos się przeżegnał:

— W imie Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen.

Cała szlachta, jak jeden człowiek, runęła na kolana i za księdzem wyrazi przeżegnania powtórzyła.

Ksiądz ręce wyciągnął. Tysiące rąk wzniesionych zwróciło się ku ołtarzowi i tysiąc ust następującą modlitwę głośno odmówiły:

— Chrystusie, coś celników na apostołów twojej świętej nauki przemienił, nas plugawych obzartuchów, pijaków, próżniaków, leniwców, rozpustników, na obrońców ojczyzny przemień... Duchu święty, spłyni na nas i natchnij miłością, wiarą, nadzieją, rozumem, odwagą, wytrwałością... ażebyśmy na duchu nie podupadli i nie spoczęli, póki ojczyzna nasza, Polska, zbawioną nie zostanie...

Ksiądz głowę pochylił, ukrył ją w dłonie i po ruchu ciała widać było, że płakał. Głośne łkania rozległy się w tłumie. W tem pod sklepieniem kościelnem, przy wtórze organów zabrzmiał uroczyste hymn:

— *Veni Creator...*

Szlacheckie głowy podniosły się, jak prostujące się po przejściu wiatru kłosa zboża na łanie. Na rzęsach ich wisiały łzy żalu za grzechy; w oczach błyszczało ofiarnym zapałem postanowienie poprawy. Oglądali się za księdzem przeorem, i dojrzeli go leżącego krzyżem przed ołtarzem.

Nabożeństwo nie długo już trwało. Wkrótce potem celebrujący ksiądz zaintonował z przed ołtarza „*ite missa est*“, dał błogosławieństwo, organy umilkły, przenaświętwszy sakrament wyniesiony został do zakrystyi i kościół zmienił się w salę obrad.

Dziwne wrażenie wywarło na obradujących kazanie księdza przeora. Stali się od razu jakby nie ci ludzie. Żaden ani pomyślał o sobie; nikt się nie zgorszył, iż nie było ani jednego wysokiego dygnitarza. Michał Krasieński podkomorzy rożański, Józef Puławski, starosta warecki, Wawrzyniec Potocki nie krewny ani kolligat Potockich, co dzierżyli senatorskie krzesła, Antoni Strzemeski konsyliarz, Antoni Dębowski cześnik—nie byli to ludzie, we-

dług ówczesnych szlacheckich wyobrażeń znakomici. Ale o znakomitych nikomu nie chodziło. Kaznodzieja intronizował ideę ojczyzny, i drobna szlachta ujrzała ją wśród siebie, i zastąpiła ona dla niej wszystkich, jacy tylko w Polsce byli, wojewodów, kasztelanów, hetmanów i biskupów. Każdy pragnął tylko przydać się jej na co i każdy lękał się głos zabrać, ażeby broń Boże! jej nie zaszkodzić.

Cisza panowała w kościele. Obrady zagaił Puławski.

Lecz, zanim opowiemy tok obrad, wspomnieć musimy o zdarzeniu, które miało na nie pośredni wpływ.

Przed samem wyjściem księdza przeora z kazaniem, we drzwiach kościoła pojawił się człowiek, nie należący do szlachty. Znać to było po jego ubiorze, który był chłopskim, składał się bowiem z czuchaja z kapturem, z diegciowych butów, baraniej czapki i czerwonego pasa. Z miny wprawdzie wyglądał niby nie na chłopca; lecz na minę ktoby tam zważał. Do ocenienia człowieka, co za zacz, służyły dwa przysłowia: „jak cię widzą tak cię piszą“ i „znać pana po cholewach“. Ani jedno, ani drugie nie upoważniało w przybyszu domyślać się nie chłopca, a przytem i mina, chociaż gesta, jednakże zdradzała pracowity stan: twarz miał ogorzałą, ręce grube, w oczach zniekanie, był to jednym słowem młody parobek, którego gdyby przebrać w żupan i kontusz, na głowę włożyć pakłak a do boku przywiązać karabelę, wyglądałby niczego. W czuchaju jednakże był parobkiem, chłopem, który nie wiedzieć z jakiej daty wlaźł pomiędzy szlachtę. Pan Cholewa, wracając w passyi z obserwacyi kominów, potrącił go łokciem i rzekł gniewnie po cichu:

— Idź świnio precz... tu nie twoje miejsce...

— Lecz ten spokojnie mu odrzekł:

— W domu bożym każdy jest równym, i jest tu miejsce tak dla waszeci jak dla mnie...

Pan Cholewa byłby go zamałował w pysk, był bowiem w wielkiej passyi, lecz się wstrzymał przez wzgląd na nabożeństwo. Ale pomyślał sobie:

— Niechno się summa skończy, dam ja tobie równość!

I parobek pozostał na progu. Od chwili do chwili wspinał się na palce, wyciągał szyję i rozglądał się po tłumie, jakby w ciżbie szukał kogo oczami. Po jakimś czasie opuścił swoje stanowisko i docisnął się do najbliższego drzwi filaru, pod którym stał Kwaśniewski. Ten ujrawszy go, uśmiechnął się do niego, a parobek nachylił się mu do ucha i zapytał:

— Jest tu starosta warecki?

Kwaśniewski szepnął w odpowiedź:

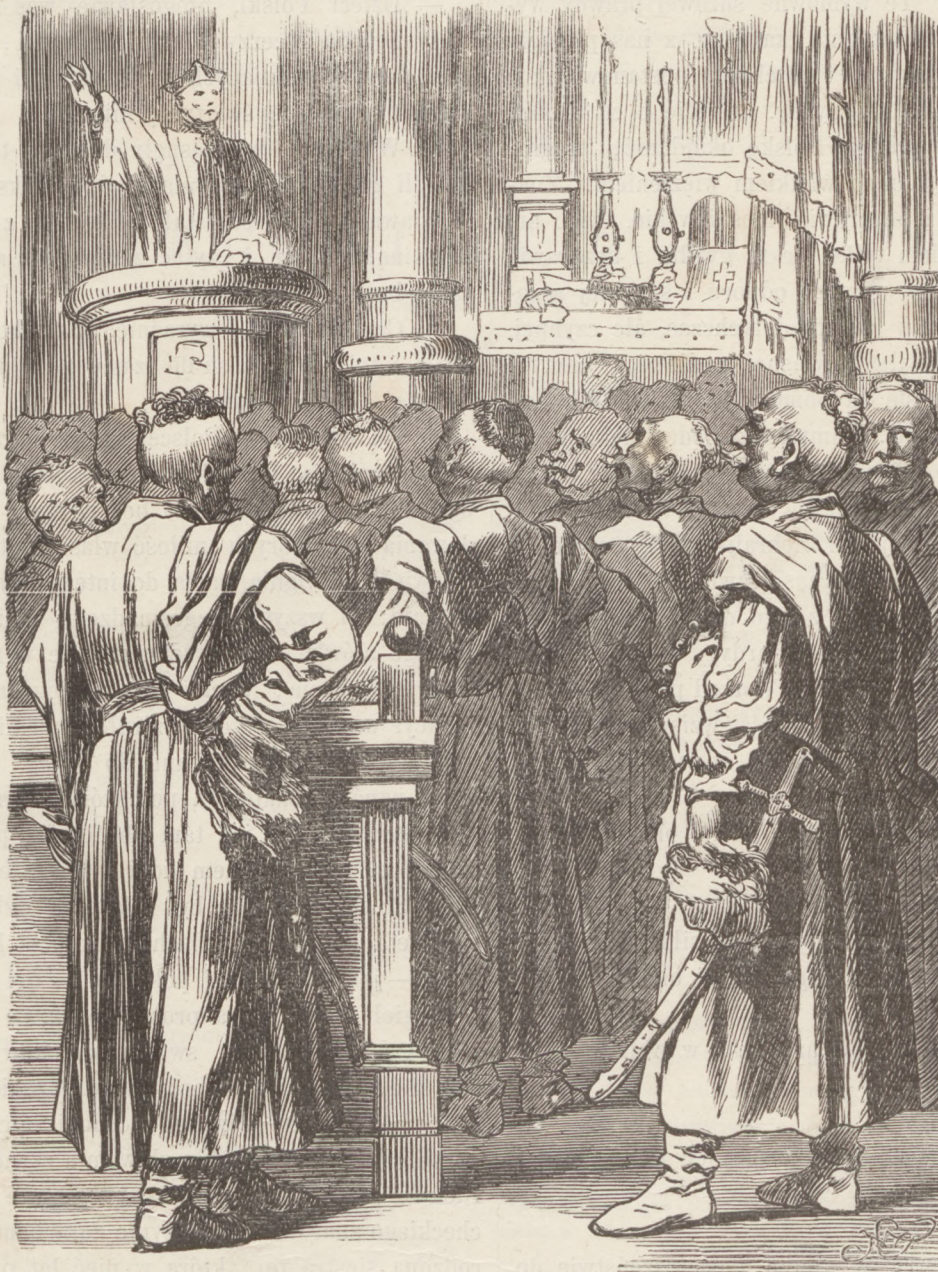
— W kolatorskiej ławce.

Parobek począł znów szukać oczami, znalazł Puławskiego i uspokoił się. Gdy ksiądz przeor wyszedł z kazaniem, on cały zmienił się w słuch. W ciągu kazania kilkakrotnie łzy pojawiały się mu w oczach. Gdy wszyscy uklękli, ukląkł i on, gdy wstali, wstał i po skończeniu

nabożeństwa, kiedy starosta warecki wyszedł z ławki i miał głos zabierać, parobek ruszył z pod filara ku wielkiemu ołtarzowi. Pilno mu snadź było, bo wciskał się w tłum z podeptaniem względów, jakie się od chłopca szlachcicom należały. Pchał się to bokiem, to pierściami, szturchał kolanami, potęcał łokciami, i rzecz podziwu i zasta-

równości pomiędzy szlachcicem a chłopem zapomnieć kazała.

A on się pchał i dopchał. Puławski zabierający się do przemówienia, gdy go zoczył, zwrócił na niego uwagę i powstrzymał się z zabranieniem głosu. Ci co bliżej starosty wareckiego stali, słyszeli pierwsze wyrazy, które on do



Tu rękę i głos znów podniósł.

(str. 290.)

nowienia godna, żadnego szlachcica to ani obraziło, ani zgorszyło, żadnemu ani na myśl przyszło zapytanie:

— Po co chłop przy wielkim ołtarzu?

Sam nawet Cholewa zapomniał, iż miał mu „dać równość!“ Ustąpił się przeciskającemu z drogi, bo pomyślał sobie, że musi mieć jakąś potrzebę, obchodzącą sprawę publiczną, która wszystkim myśl i serce zapełniła i o nie-

parobka przemówił:

— Wracasz tedy... Czekaliśmy na twój powrót z niecierpliwością... Cóż przynosisz z tamtej strony? Dobrze czy złe wieści?

— Dobrze — odparł parobek. — Oto list.

Tu podał opieczętowane pismo.

— A resztę opowiem.

Puławski szybko przebiegł oczyma list; oblicze jego rozjaśniło się, wyszedł na chwilkę z posłem dobrej nowiny do zakrystyi i niedługo zabawiwszy, powrócił, a pomówiwszy słów kilka z podkomorzym rożańskim, zwrócił się do rzeszy i w następujące odezwał się słowa:

— Panowie i bracia! Po tem coście z ust wielbego księdza przeora słyszeli, nieprzystojną by dla mnie było rzeczą, zagrzewać was. Te wymowne surowej prawdy wyrazy, jak mnie, tak niezawodnie każdego z nas przejęły zapalem dla rzeczy ojczyściej i natchnęły postanowieniem złożyć wszystko na ołtarzu ojczyzny. Wicie o co chodzi. Wróg wiary i wolności pragnie Polskę okajdanić, pragnie ojczyznę naszą zrobić jednym wielkiem więzieniem. Znaniemi są wam gwałty i bezprawia moskiewskie, więc nie będę ich wyliczał. Powiem tylko, że te gwałty i bezprawia wymagają z naszej strony silnego odporu i szybkiej rezolucyi, nie już słownej, jak bywało dotychczas, ale czynnej, rycerskiej. Użyć nam należy własnej gorliwości, cnoty i mężności, nie oglądając się na pomoc niczyją jedno boską, bo ta tylko jest niezawodną. Mamy ludzi podostatek, mamy i mężów zgodnych do obrony wiary i wolności; trzeba tylko całego serca i rozumu zażyć, to *in Dei nomine*, pokonamy wszystkich nieprzyjaciół. Zebrałiśmy się tu nie po to, ażeby na czczych słowach czas trawić, lecz ażeby od razu przystąpić do czynu, ażeby z tego domu bożego wyjść wojskiem, gotowem na wszelkie hazardy. W tej intencji wezwaliśmy was, waszmość panowie, i przed przystąpieniem do wyłuszczenia wam szczegółów przedsięwzięcia, pozostaje mi tylko zapytać was: czyście gotowi oddać życie za ojczyznę?

Ozwał się jeden wielki, tysiąca piersi okrzyk:

— Gotowiśmy!

Przebrzmiał i zrobiło się znów cicho.

— Postanawiacie walczyć za Polskę, póki sił i tchu stanie?

Ozwał się jeden wielki, tysiąca piersi okrzyk:

— Postanawiamy!

— Postanawiacie nie spocząć aż chyba w wolnej ojczyźnie lub w grobie?

— Postanawiamy!

— Postanawiacie słuchać starszyznę, co was w bój z wrogiem poprowadzi?

— Postanawiamy!

— Przysięgacie wytrwać w wierze i posłuszeństwie do ostatka?

Tysiące rąk podniosło się do góry i tysiąc piersi jednym głosem odpowiedziało:

— Przysięgamy!

W tej chwili na stopniach ołtarza, niby z pod ziemi wyrosły, zjawił się ksiądz przeor. Wśród ciszy, jaka natychmiast po wymówieniu wyrazu przysięgi nastąpiła, dało się słyszeć uroczyste:

— Amen...

Poczem wyciągnął ręce nad tłumem, a z palców jego strzeliły niby promienie, które poszły wzdłuż przez cały kościół, a głowę jego otoczył niby wieniec blasku. Szlachta czoło uchyliła. Z ust księdza popłynęły wyrazy, które nie wydawało się, aby pochodziły z ust człowieka, tyle w nich było grzmotowej siły, tyle niezziemskiej powagi, tyle anielskiej harmonii, tyle proroczego natchnienia:

— Dzieci Polski, błogosławie was na bój i śmierć za ojczyznę, na rycerzy wiary i wolności, na Chrystusowych czeladników, budujących skrwawionemi rękami wielką, cały świat ogarniającą świątynię miłości.

Wyrazy te wstrząsnęły duszami tłumu do głębi. Podnieśli głowy. Na stopniach ołtarza księdza już nie było. Na dawnem miejscu stał Puławski z papierem w ręku. Rozwinął papier i czytać zaczął akt zawiązania konfederacyi barskiej.

Czytał długo i wyraźnie. Szlachta w milczeniu słuchała i tylko od czasu do czasu, przy niektórych ustępach, dawała znaki aprobacyi.

Od wieków w Polsce żadna obrada nie odbyła się z taką powagą i z takim spokojem. Ci co znałogowani byli do gardłowania, ci co bez wrzawy nie rozumieli obradowania, ci których miłość własna, ta wszechpotężna w człowieku dźwignia, parła do interpelowania czy było o co, czy nie; ci wszyscy, zgromadzeni w liczbie tysiąca, ani jednego słówka niepotrzebnego nie wyrzekli. Wysłuchali aktu zawiązania, uznali Krasińskiego marszałkiem konfederacyi w zastępstwie Radziwiłła, uznali Puławskiego regimentarzem, i żadnemu ani do głowy przyszło upominać się o panów, senatorów, pod których przewodnictwem chodzić nawykli. Co ich tam obchodzili panowie, kiedy się każdy uczuł piastunem idei! Więc lepszym niż wszyscy całej Polski panowie był dla nich szlacheta Krasiński i szlacheta Puławski i szlacheta Potocki herbu Szeliga, lepszym — jak się później okazało — był Morawski rzeźnik, Szczygieł szewc, Sawa prosty kozak, bo tamci ich karmili, poili i do prywatnych swoich widoków używali, a ci, na ich czele, na bój i śmierć za odrodzenie ojczyzny szli.

W tem to głównie zachodzi sprzeczność, jaka się postrzeżać daje pomiędzy słowem a czynem tego pierwszego ruchu Polski ku odrodzeniu. W słowie dzwoni echo szlacheckiego znarowienia, w czynie dokumentuje się demokracja, rodzona siostra tej, która w pięć lat później wystąpiła w Ameryce i we dwadzieścia jeden we Francyi. Kto wie, gdyby nie Polska a Francya była rozpoczęła, czy nie we Francyi a w Polsce byłyby proklamowanemi „prawa człowieka“? Do dokumentów czynu zaliczyć należy i to, że konfederacya barska, w osobie swego bohatera i najczystszego przedstawiciela, Kazimierza Puławskiego, sprawę wyzwalającej się amerykańskiej rzeczypospolitej uznała za swoją i przez Kościuszkę tę sprawę związała z dalszym ciągiem demokratycznych usiłowań Polski.

Lecz wróćmy do opowiadania.

Po odczytaniu aktu zawiązania i dokumentów odnoszących się do urzędzenia części administracyjnej, politycznej i wojskowej zawiązanej konfederacji, starosta warecki zakończył wstępną czynność. Szlachta wyszła z kościoła żołnierstwem i natychmiast podzieloną została na chorągwie, które niezwłocznie pełnić poczęły służbę wojskową. Częścią tą zajął się regimentarz. Podzielił, powyznaczał dowódców, ustawił w szyku za miasteczkiem i zrobił przegląd. Przeglądowi asystowała cała ludność Baru,

żydzi i chłopci. Pomiedzy tymi ostatnimi stał parobek, który w kościele wsunął list Puławskiemu. Zoczył go regimentarz i zawołał:

— Przecież należy ci się nagroda, którą sam sobie wyznaczyłeś... Dobrześ się sprawił... Przywiozłeś wiadomość, że od strony Zaporozża nie ma żadnych przeciwko rzeczypospolitej knowań... Chciałeś służyć ojczyźnie, więc służ... Dostaniesz konia, rynsztunek i uzbrojenie i pójdiesz do chorągwi mego syna...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRÓL DON-ŻUAN.

KOMEDIA W V AKTACH.

PRZEZ

ADAMA BĘŁCIKOWSKIEGO.

AKT DRUGI.

(Wieczor. Winiarnia Duvala. Obszerna sala oświetlona kilku kinkietami. Po obu stronach i w głębi sceny stoliki i stołki. Szafa z butelkami itp. Drzwi główne i po prawej ręce.)

SCENA PIERWSZA.

DUVAL. ROBERT. WILHELM I INNI OFICEROWIE siedzą przy jednym stole. Butelki odkorkowane, szklanki itp.

DUVAL. Nie, to niepodobna! Słyszysz panie Robercie, co pan porucznik opowiada o królu szwedzkim? Czyż to może być, żeby Karol XII. brzydził się winem, a pijał tylko kwaśne mleko i maślankę!

ROBERT. Nie mogę ci za to zaręczyć panie Duval. Zresztą może to i potwarz wymyślona przez zemstę, bo tak o nim opowiadają ci niedobitkowie, których niedawno temu nad Dźwiną przepłoszył.

DUVAL. To zdaje się nie do uwierzenia!

PIERWSZY OFICER. Ale powiem wam także, moi panowie, że tenże sam Karol XII. większy niż do wina ma jeszcze wstręt do kobiet. Na jego dworze nie ma ani jednej damy honorowej, a kiedy choćby najpiękniejszą kobietę przypadkiem spotka, ucieka przed nią jak przed morowem powietrzem.

DUVAL. A to mi król dopiero! Oho, nie dojdzie on nigdy tak wysoko, jak król francuski, albo też nasz najjaśniejszy monarcha!

ROBERT. Z tem wszystkiem trudno zaprzeczyć, że się dzielnie bije, i niedługo zapewne będziemy mieli sposobność znowu się z nim zmierzyć, gdyż według najświeższych wiadomości dotarł już do samych granic Rzeczypospolitej.

DUVAL. Oho, moi panowie, tutaj on kark skręci. Czytałem ja gazety francuskie i wiem, co się gotuje. Wielkie przymierze już zostało przeciw niemu zawarte, gdyby się na to odważył.

Wtedy Car rosyjski uderzy na niego z jednej strony, od południa, ot tędy pójdą wojska polskie, Sasi zaś, ot tak, od Drezna, a król duński z góry go przyciśnie. Karol XII. musi się zgruchotać jak orzech we drzwiach. Rosya weźmie sobie wtedy Finlandyą, nasz król Inflanty, a resztę zabiorą Duńczycy. Moi panowie, to jest pewne jak dwa a dwa cztery, bo jestże to rozum bić się aż z trzema naraz.

ROBERT. Wypijmy za pomyślność naszego oręza. (Piją. Robert wstaje). Ale gdzież to panna Henryka? Tak długo się dziś nie pokazuje.

DUVAL (wstaje). Zajęta jakąś robótką, przy których kobiéтом zawsze spieszno. Ale jeżeli to panom przyjemność sprawi, to wiecie, że nie jest mym zwyczajem, zamykać ją przed mężczyznami. Pogadać i pośmiać się z każdym przywoicie, zwłaszcza w tak zacnym towarzystwie, nikomu nie szkodzi, a te trusie, co to trzech zliczyć nie umieją, najczęściej wpadają w łapkę. Wszak prawda panie Robercie?

ROBERT. Najoczywistsza prawda panie Duval.

DUVAL. Jeżeli skończyła swoją robotę, stanie się natychmiast panu zadosyć. (Otwierając drzwi na prawo.) Henryko, pójdźno tu do nas moje serce, panowie proszą cię bardzo.

HENRYKA (za sceną). W tej chwili mój ojciec. (Wchodzi z robótką w ręku.)

SCENA DRUGA.

CIŻ SAMI I HENRYKA.

HENRYKA. Czegóż żądasz, mój ojciec?

ROBERT. Dobry wieczor, panno Henryko. Pani dzisiaj zajęta. Nie bylibyśmy cię trudzili, gdyby nie to, że mam pani coś powiedzieć.

HENRYKA. Cóż takiego? jestem bardzo ciekawa.

ROBERT. Pójdźno tu do nas Wilhelmie. (Wilhelm się zbliża). Przedstawiam pani wielkiego winowajcę, który dzisiaj bardzo względem ciebie przekroczył.

HENRYKA. Pan Wilhelm?

ROBERT. Tan panno Henryko. Wiesz pani, że on twoje włosy nosi na sercu, że nie ma dość westchnień i pocałunków, aby je obsypywać.

HENRYKA. Moje włosy?... Pan powiedziałeś całą prawdę, panie Wilhelmie?

WILHELM. Czyż pani możesz wątpić?

ROBERT. Nie gniewaj się panno Henryko. Wilhelm był bardzo dyskretny i gdyby nie przypadek, nie bylibyśmy dotąd wiedzieli, że je kupił u ciebie za 30 talarów.

HENRYKA. Byłoby zachcenie, któremu w ten sposób, jak pan wiesz, mogłam bez wahania zadosyć uczynić.

ROBERT. Jesteś pani okrutną. Gdybyś mogła przejrzeć jego uczucia i uwierzyć im, ręczę żebyś laskawszy wyrok wydała. Bo ja, panno Henryko, stoję po stronie tego winowajcy. Nie było i nie będzie człowieka, któryby cię tak kochał i ubóstwiał. Wierz memu doświadczeniu i przychylności dla ciebie. Nie mówię dla tego, że Wilhelm jest moim przyjacielem, ale on zasługuje na wszelkie twoje względy.

HENRYKA. Panie Robercie!

WILHELM (biorąc go za ramię). Daj pokój!

ROBERT. Dobrze, więc gadaj sam za siebie. Ja tylko powiadam, że los poszedłby bardzo krzywą drogą, gdyby was na wieki nie połączył, i mam tę błogą nadzieję, że wcześniej czy później to uczyni. (Odchodzi do innych oficerów).

WILHELM. Przebac pani słowom mojego kolegi, który licząc na twoje dobre serce, może zadaleko posunął dla mnie przychylność. I przebac pani także mnie nierównie większą jeszcze winę, gdy wobec tych ludzi wyjawilem dzisiaj, że cię kocham.

HENRYKA. Postąpiłeś pan bardzo nierozsądnie.

WILHELM. Tak, przyznaję. Stało się to pod wpływem dziwnego uniesienia, kiedy zapomniałem na chwilę o rzeczywistości. Nie powinienem był tego nigdy uczynić przez wzgląd na ciebie i na to, że miłość moja bez nadziei...

HENRYKA. Panie Wilhelmie, i dlaczegoż nie idziesz za tem przekonaniem?

WILHELM. Dlaczego? Wszak i ja mógłbym panią zapytać, dlaczego do swego serca nie dajesz przystępu miłości. O Henryko, natura stwarzając ciebie, oszukała ludzi; zlała na ciebie wszystkie dary, które tylko miłość wzniecić mogą, a dała ci serce nieprzystępne dla tego uczucia. Henryko, powiedz mi, czyli ty nie chcesz, czy nie umiesz kochać?

HENRYKA. Nie wiem. Być może, iż na dnie mego serca spoczywa w milczeniu to uczucie, oczekując chwili, kiedy znajdzie się ręka, co uderzy w tę strunę i tony z niej wydobędzie. Może być, iż zupełnie go tam nie ma. Bo i dlaczegoż koniecznie kochać? Czyż nie można przejść przez życie i nie spo-

tkać ani jednej istoty, pod której władzę nasza dusza by się poddała?

WILHELM. Oh Henryko, ja lękam się o ciebie!

HENRYKA. Pan mię obrażasz...

WILHELM. W twojej dziewiczej piersi spoczywa jakaś demoniczna siła. Ty jej nie czujesz, bo jeszcze drzymie, ale niech się przebudzi, a rozsądzi twe serce. Ty nie wiesz, a w twojej głowie snują się jakieś przecucia ideału, potężniejszego nad zwykłych śmiertelników. Ty pragniesz miłości, która wprawia w szal bogów i katuszą piekiel udręcza. Henryko, ty pokochasz bóstwo lub szatana! (odchodzi od niej między oficerów).

HENRYKA (d. s.). Mój Boże, czyż to ma być prawdą, co on mówi. Nie, on mnie nie zna, ja czuję się tak szczęśliwą i spokojną. Mój ojciec, czyli mam zostać tu na sali?

DUVAL. Zostań Henryko. Możesz sobie tu szyc i dłużyć, a zabawisz gości, gdyby mi przyszło się oddalić. Bardzo ładnie się dzisiaj ubrałaś, a co to za suknia?

HENRYKA. To ta, którą sobie zrobiłam według własnego pomysłu.

DUVAL. Ładnie w niej wyglądasz. Oj wy dziewczęta, umiecie przystrajać swe buziaki. Niech cię to nie psuje, moja córko, ale ty sama dobrze wiesz, że ci pan Bóg nie poskąpił urody. He, ja też jestem dumny z takiej córki. (Całuje ją w czoło i odchodzi do oficerów. Henryka usiada przy drugim stole z robotą w ręku.)

ROBERT. Moi panowie, spiew i wino to nierozłączni towarzysze. Do góry szklanki i zaśpiewajmy piosnkę o ojcu Noem.

OFICEROWIE. Wybornie, o ojcu Noem!

ŚPIEW. CHÓR.

Ojciec Noe niechaj żyje!
Nie dlatego że jedyny
Między ludźmi był bez winy,
Gdy Bóg karał świat zalewem;
Ani nie z tego powodu,
Że się stał ludzkiego rodu
Genealogenicznem drzewem;
Lecz dlatego, że zaradził
Na smutki sercu niezdrowe,
Że szczerp winny pierwszy sadził
I zapruszył pierwszy głowę.
Ojciec Noe niechaj żyje!

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI. KRÓL I RANDZAU.

(W czasie spiewu król i Randzau weszli. Obaj w kapeluszach i płaszczach. Randzau na migi przywołał Duvala, dał mu do poznania, że chcą zostać niepostrzeżeni, i kazał podać wina. Król i Randzau siadają przy osobnym stole w głębi. Oficerowie na przodzie po jednej, Henryka po drugiej stronie.)

RANDZAU (półgłosem). Najj. Panie, musimy się cicho i ostrożnie zachować.

KRÓL (tak samo patrząc na Henrykę). Więc to jest panna Duval?

RANDZAU. Ona sama. Jakże ją W. Kr. Mość znajdujesz?

KRÓL W istocie, mieliście słuszną. Zdaje się tylko trochę za zimna.

ROBERT (stawiając szklanę). Już to należy przyznać, że się nigdzie tak dobrze nie bawimy, jak u ciebie panie Duval. Jesteś co się nazywa nieoszaczonym gospodarzem. Masz wino dobre ani na jotę nie sfalszowane, a nie każesz sobie za nie sum neapolitańskich płacić. Nie powiedziałbym także całej prawdy, gdybym nie dodał, jak wiele powabu przyczynia twemu zakładowi twoja córka, panna Henryka. Można ją bez przesady nazwać wzorem dobrze wychowanych panien, co zaś do jej piękności, jest to rzecz tak znajoma, że nawet gadać o tem nie warto. Panno Henryko, twoja gitara spoczywa dzisiaj bezczynnie. Zechciej ją wziąć do ręki i zaszczycić nasze towarzystwo swym śpiewem.

HENRYKA. Zaśpiewam panom piosenkę, której się niedawno nauczyłam. (Zdejmuje gitarę ze ściany).

ŚPIEW.

Zerwałam kwiatek na łące,

Kwiat co miał świeżość i woń;

Tam ogrzewało go słońce,

Motyle biegły tam doń.

Przypięłam ten kwiat na łono,

Ah, piękny będzie to strój!

Lecz wkrótce główkę schyloną

Uwiedły zwiesił kwiat mój...

ROBERT. Piękna piosenka, dziękujemy bardzo. Śpiewałaś ją pani z wielkiem czuciem. Za zdrowie panny Duval.

OFICEROWIE. Za zdrowie! (Henryka kłania się).

KRÓL (który w czasie śpiewu powstał i trzymał w Henryce utkwione oczy, patrząc ciągle na nią). Randzau, czy widziałeś ty wyraz jej twarzy? Sądziłem, że widzę alabastrowy posąg, który nagle się ożywia. Pragnąłbym teraz klęczeć przed nią i całować jej ręce. Muszę z nią mówić. Tych panów trzeba się jak najprędzej ztąd pozbyć.

RANDZAU. Jeżeli W. Kr. Mość sobie życzysz...

KRÓL. Tak chcę koniecznie. Lecz cóż tu zrobić?

RANDZAU. Sposób musi się znaleźć. Tak będzie dobrze. (Podaje mu swój pugilares). Niech W. Kr. Mość napisze tutaj rozkaz do komendanta placu, aby natychmiast kazał zabębnić na alarm.

KRÓL (pisze). Oto go masz. (Wydziera kartkę z pugilaresu, pugilares kładzie na stole).

RANDZAU. Oddam go najbliższemu oficerowi na służbie i zaraz powrócę. Niech tylko W. Kr. Mość nie zwraca na siebie uwagi.

KRÓL. Będę siedział jak martwy. (Randzau wychodzi).

ROBERT (cokolwiek podochocony biorąc Duvala na stronę). Panie Duval, pan wiesz, że cię szanuję?

DUVAL. Panie Robercie, nie wątpię o twojej przyjaźni.

ROBERT. Pan wiesz, że kocham pannę Henrykę.

DUVAL. W istocie zastępujesz jej pan miejsce brata.

ROBERT. Że pragnę jej dobra i szczęścia. Otóż względem niej niechym lekkomyślnie nie powiedział. Pan wiesz, że mój kolega Wilhelm ją kocha?

DUVAL. Tak, tak, miarkuję ją to.

ROBERT. Czy pan masz co przeciw niemu?

DUVAL. Broń Boże! To jest człowiek zupełnie na swoim miejscu.

ROBERT. To jest bardzo szlachetny chłopiec.

DUVAL. Tak, szlachetny.

ROBERT. Dobrze wychowany i wcale nie głupi.

DUVAL. To prawda.

ROBERT. Z bardzo porządnego domu i nawet nieubogi.

DUVAL. Tak, tak, widać to po nim.

ROBERT. Panie Duval, nie odmówiłbyś mu ręki córki?

DUVAL. Gdyby się tylko ona na to zgodziła.

ROBERT. Ona się na to zgodzi, niechaj go tylko lepiej pozna i oceni. Panie Duval proszę cię o przychyłość i względy dla Wilhelma. To się jakoś ułoży. (Podaje mu rękę).

DUVAL. Możesz pan być tego zupełnie pewny.

ROBERT. Dziękuję. (Duval zbliża się do córki i rozmawia z nią po cichu. Robert do Wilhelma). Cóż mój kochany siedzisz ciągle jak mruk i nic nie pijesz. W twojem położeniu wypiłbym całą beczkę i dopił się na jej dnie nadziei. Nie rozpaczaj tak bardzo. Są kobiety, których miłość cierpliwością trzeba zdobywać.

WILHELM. Próżna pociecha! Ja cierpię bardzo, a najwięcej wtedy, kiedy mi się wydaje, że Henryka jest tym dumnym aniołem, którego wielkość i świetność strąciły na dno przepaści.

ROBERT. Co tobie się nie marzy! — Ot co zrobiłeś z tego naiwnego, wesołego i swobodnego dziecka! No koledzy, nie zalegajmy pola. Panie Duval, podsyć źródło naszego humoru. (Piją).

DUVAL. W tej chwili, w tej chwili. (Przynosi nowe butelki).

RANDZAU (powraca do króla). Najj. Panie, za chwilę usłyszymy bębny pod oknami.

KRÓL. Ci panowie bawią się w najlepsze. Ale patrzaj Randzau, jaka ona piękna! Myślałem, że to będzie tak sobie ładna, kapryśna dziewczyna z filuternym noskiem, a to...

RANDZAU. A to co?

KRÓL. A to bogini!

RANDZAU. W. Kr. Mość się entuzjazuje, to nie dobrze.

ROBERT. Moi panowie, piliśmy już rozmaite zdrowia, zapomniałszy jeszcze o jednym: niech żyje król!

OFICEROWIE. Niech żyje!

RANDZAU (do króla). Można W. Kr. Mości powinszować tej niespodzianki. (Słychać alarm).

ROBERT. Cóż to znowu?

OFICEROWIE. To alarm!

ROBERT. Ha moi panowie, rzucajcie szklanki od siebie i dalej w drogę. Panie Duval zapłacim jutro, a teraz dobranoc, dobranoc panno Henryko. Prędkiej, prędziej! (Oficerowie wychodzą spieszenie. Duval idzie za nimi do drzwi).

RANDZAU (do króla). Oczyściliśmy plac z nieprzyjaciela.

SCENA CZWARTA.

DUVAL, HENRYKA. RANDZAU KRÓL.

DUVAL (za odchodzącymi). Moi panowie, coż to ma znaczyć to bębnienie na gwałt? Niech pan Bóg broni, może król szwedzki już pod Warszawą!... Henryko, wyrzyjno oknem, co się tam dzieje.

RANDZAU (zbliżywszy się z królem naprzód). Uspokój się panie Duval, to tylko zwyczajny alarm dla wypróbowania czujności załogi.

DUVAL. Czy tak? panie Randzau. No pan przecie człowiek wojskowy i znasz się na tych rzeczach. Ale coż panowie tutaj bawicie, toć i na was zapewne bębniłono?

RANDZAU. Jako adjutant królewski wyjęty jestem z pod rozkazów komendanta placu, a mój towarzysz przybył do miasta z innego pułku i nie należy do garnizonu. Przedstawiam państwu kapitana Moora. Przyszliśmy przepędzić tutaj wesołą chwilę.

DUVAL. Bardzo się cieszę z łaskawej pamięci pana adjutanta. (Podaje królowi rękę). Panie kapitanie, szczyć się przyjaźnią wielu pańskich kolegów, i spodziewam się, że pan mi także swojej nie odmówisz.

KRÓL. Panie Duval, posiadam wielu przyjaciół, ale więcej jeszcze wrogów i dlatego bardzo mi przyjemnie, jeśli mogę liczbę pierwszych pomnożyć. (Do Henryki). A pani, czy zechcesz do jednych, czy do drugich należeć?

HENRYKA. Żadasz pan niepodobieństwa. To pytanie może tylko dalszy czas rozstrzygnąć.

KRÓL. Jakto? Miałyby w twojej duszy znaleźć także miejsce wrogie uczucia?

HENRYKA. Czyż pan uważasz za rzecz nieprawdopodobną, że w każdym rozbudzić je można? A zwłaszcza pan, który jak powiadasz, masz tak wielu nieprzyjaciół, musisz także posiadać przymioty, wznecające nieprzyjaźń.

KRÓL. Trudno, bym sam o sobie sądził. I wolałbym zdać się na wyrok pani, jakim się tobie wydaje.

HENRYKA (śmiejąc się). Patrząc na pana, wcale bym cię złym nie nazwała.

KRÓL. A więc posiadam przyjaźń pani?

HENRYKA. Ale mój panie, pozory często mylą...

KRÓL. Nie zawsze. Wszak piękność twoja jest także pozorem, słabym odbłaskiem twej duszy, a jednak nie kłamie, że pani jesteś piękną.

HENRYKA. Kapitanie, nie będziemy nigdy przyjaciółmi.

KRÓL. Dlaczego? Topy mnie bardzo smuciło!

HENRYKA. Bo zaczynamy znajomość od błahych grzeczności.

KRÓL. Które jednak mogą być najszczerzą prawdą. Nie jestto przecie rzecz niemożliwa, że ja nie jestem złym człowiekiem, a sprzeciwiałoby się prawdzie, gdybym nie wyznał, że twa piękność zrobiła na mnie wrażenie.

DUVAL (n. s. do Randzaua). Ten pański kapitan rozumny człowiek. Ale uważasz pan, jak i moja Henryka dotrzymuje mu placu. (Słychać stukanie i głos za sceną: otworzyć, otworzyć). Cóż tam znów takiego?

RANDZAU. Panie Duval, nie każ otwierać. (Stukanie).

DUVAL. A to jacyś natrętni goście! (Do okna). Moi panowie idźcie spać, już późno!

GŁOS ZZA SCENY. Każ pan otworzyć, panie Duval, przychodzimy w imieniu władzy.

DUVAL (do obecnych). Moi panowie, nie wiem co to ma znaczyć, ale ront stoi przed bramą.

RANDZAU (zbliżając się do króla rozmawiającego z Henryką). Najj. Panie, ront.

KRÓL (n. s.) Musimy się ukryć.

RANDZAU. Trzeba ich wpuszczać, panie Duval. My tymczasem z kapitanem wejdziemy do drugiego pokoju. Ten ront wprawdzie nic nas nie obchodzi, lecz kapitan nie meldował się jeszcze u tutejszej władzy, i nie chciałby w tych burzliwych czasach obudzić podejrzenia. Tak więc uważaj panie Duval, jak gdyby nas tu nie było.

DUVAL. Dobrze, moi panowie (idzie do okna). Zaraz, zaraz, proszę o chwilę cierpliwości. (Idzie do drzwi i woła:) Michał, otwórz bramę! (wraca). Wkrótce ja się tu z nimi sprawię. Poproś Henryko panów do pokoju. (Henryka, król, Randzau odchodzą na prawo. Wchodzą sierżant i kilku żołnierzy prowadząc panią Kozel. Pani Kozel w ubiorze oficerskim otulona płaszczem).

SCENA PIĄTA.

DUVAL. PANI KOZEL. SIERŻANT. ŻOŁNIERZE.

SIERŻANT. Daruj panie Duval, że cię tak późno nachodzimy. Ale dobrze przynajmniej, że gospodarz jeszcze na nogach.

DUVAL. Czemże panom mogę służyć?

SIERŻANT. Chcielibyśmy się widzieć z panem Randzauem.

DUVAL. Z panem Randzauem, hę? co? ...Z panem Randzauem? a nie mój panie, to być nie może, bo pana Randzaua tu nie ma.

SIERŻANT (do pani Kozel.) Musiałeś się pan omylić. Mówiłeś, że go tutaj widziałeś.

DUVAL. Najoczywiściej zaszła jakaś pomyłka.

P. KOZEL. Nie, mój panie, ja znam dobrze pana Randzaua, i widziałem, jak tutaj wchodził z drugim oficerem.

DUVAL. Pan Randzau zaszczyca niekiedy mój zakład swą obecnością, ale dzisiaj nie ma go tutaj. Wszak panowie widziecie.

SIERZANT. Co do mnie, zupełnie mi to obojętne, czy pan Randzau tu jest, czy go nie ma. To tylko ten pan powoływał się na jego znajomość. Spotkaliśmy go niedaleko ztąd na ulicy już po alarmie, a zatem należało go aresztować. Wtedy powiedział nam, że pan Randzau jest tu u pana, żebyśmy go tutaj zaprowadzili, a pan Randzau każe go puścić wolno.

P. KOZEL (n. s.) Ah, byłto mój ostatni ratunek!

DUVAL. W takim razie żałuję bardzo, żeście panowie nie zastali pana Randzaua.

P. KOZEL. Ale on tu być musi. Powiadam panu, że widziałem jak najwyraźniej, jak wszedł do tego domu. Ja mam bardzo ważne powody widzieć się z nim.

DUVAL. Pojmuję jak najlepiej pańskie żądanie, ale temu nie zaradzę. Pańskie powody nie stworzą pana Randzaua, skoro go tu nie ma.

P. KOZEL (ciszej do Duvala). Pan Randzau mógł pragnąć być niewidzianym, różne okoliczności mogą tego wymagać. Lecz w obecnym wypadku chciej pan dla mnie zrobić wyjątek.

DUVAL. Pan jesteś bardzo natarczywy, a moja firma zasługuje na większą wiarę.

P. KOZEL. Pana Randzaua nie ma tu na sali, ale może być gdzieindziej. Pozwól mi zobaczyć... (Zamierza iść ku drzwiom po prawej).

DUVAL (stając w drodze i rozkładając ręce). Co pan robisz panie, tam moja córka!

P. KOZEL. Pańska córka?

DUVAL. Tak, moja córka, panie, tam pokój mej córki, a teraz już jest noc późna, moja córka zwykła iść spać o tej porze...

P. KOZEL. Najmocniej przepraszam. Nie wiedziałem, że pan masz córkę.

DUVAL. To mię dziwi. Moję córkę znają zapewne wszyscy pańscy koledzy.

P. KOZEL. Musi być bardzo ładna?

DUVAL. Tak wszyscy powiadają.

P. KOZEL (n. s.) To zwiększa moje podejrzenie.

SIERZANT. Darujcie panowie, ale nie możemy tracić czasu. Skoro pana Randzaua tu nie ma, musisz się pan udać za nami.

P. KOZEL. To być nie może! (n. s.) Mój Boże, miałiby mnie zaprowadzić na odwach! nie przeczuwałam takiego niebezpieczeństwa.

SIERZANT. Darmo mój panie, wiesz najlepiej, jakie mamy rozkazy.

P. KOZEL (n. s.) Odwagi! (głośno) Chciej mi wierzyć kolego, że ten rozkaz mnie się zupełnie nie tyczy.

SIERZANT. Przed komendantem placu złożysz pan na to dowody.

P. KOZEL. W takim razie zaczekam tutaj. Pan Randzau, jak powiedziałeś panie Duval, bywa u ciebie, może więc przypadek zdarzy, iż jeszcze nadejdzie.

DUVAL (n. s.) A to natręt! (głośno) Panie sierzancie, czy nie mógłbyś uwierzyć temu panu na słowo. On musi mieć słuszność, i zdaje mi się, zwłaszcza skoro nie słyszał nic o mojej córce, że nie należy do tutejszej załogi.

P. KOZEL. Tak jest w istocie, zgadłeś pan, nie jestem oficerem z garnizonu.

SIERZANT. Gdybyś mię pan mógł przekonać, gotowem na tej podstawie puścić go wolno.

P. KOZEL. Rzeczywistego dowodu nie mogę na to złożyć, ale daję na to słowo honoru. Pan znasz bez wątpienia wszystkich oficerów w mieście, przypatrz mi się, czyli jestem do którego z nich podobny. (Odsłania twarz, aby ją lepiej widzieć.)

SIERZANT. W samej rzeczy, nie znam tak młodego oficera w całym mieście.

DUVAL. A zatem rzecz skończona.

SIERZANT. Dobrze, ale w razie przeciwnym mam świadków, za co mi pan zaręczyłeś.

P. KOZEL. Pod tym względem możesz kolego zupełnie być spokojny. Panie Duval, daj tym żołnierzom po szklance wina. Oto pieniądze. (Kładzie pieniądze na stole i spostrzega pugilares Randzaua). Pugilares Randzaua!... więc się nie omyliłam! (chowa go, Duval tymczasem częstował żołnierzy).

SIERZANT. Życzę panom dobrej nocy,

DUVAL. Spokojnej nocy panie sierzancie, spokojnej nocy!
(Żołnierze wychodzą).

SCENA SZÓSTA.

P. KOZEL. DUVAL.

P. KOZEL (n. s.) Odetchnęłam. Byłato jednak wielka nieprzezorność narażać się na podobne przygody. Ale na cóż nie odważy się miłość? (głośno:) Winienem ci podziękować panie Duval, twój szczęśliwy domysł wybawił mię z kłopotu.

DUVAL. Nie ma za co, nie ma za co. Teraz pan bez wątpienia jak najprędzej udasz się do domu?

P. KOZEL. Chciałbym to uczynić, lecz boję się powtórzenia podobnego wypadku.

DUVAL. Nic się panu nie stanie...

P. KOZEL. Na ulicy może mnie jednak spotkać drugi patrol. Czyby nie było lepiej poczekać tutaj jakąś chwilę.

DUVAL. O tej porze mój zakład się zamyka, a w gospodarstwie wszystko musi iść według zegarka. Muszę korzystać z nocy, aby jutro rychło świt być znowu na nogach.

P. KOZEL (n. s.) Widocznie chce się mnie pozbyć.

DUVAL. Ale mogę panu dać jedną radę.

P. KOZEL. Słucham.

DUVAL. Gdzie pan stoisz kwaterą?

P. KOZEL. Mieszkam... Chciałbym się tylko dostać na plac zamkowy, ztamtąd już blisko do mego mieszkania.

DUVAL. Doskonale. Wypuszczę pana drugą bramą, która wychodzi na mniej uczęszczane ulice. Tamtędy właśnie najkrótsza droga na plac zamkowy, a nadto ominiesz pan główną ulicę, gdzieby cię najprędzej ront mógł spotkać.

P. KOZEL. Dziękuję ci panie Duval za dobrą radę.

DUVAL. Więc chodźmy. Ale tam w sieni już ciemno, pan nie trafisz... żeby nam kto poświecił. Poczekaj pan, zobaczę, czy Henryka nie śpi, (idzie do drzwi na prawo, ostrożnie na wpół je otwiera i mówi ciszej) Henryko, pójdźno tu na chwilę (odchodzi od drzwi) Jeszcze ubrana, zaraz przyjdzie. (Henryka wchodzi).

SCENA SIÓDMA.

DUVAL. P. KOZEL. HENRYKA.

P. KOZEL (na jej widok wydaje okrzyk zadziwienia). Ah!

DUVAL. Co się panu stało? Czym na nagniotek ci nastąpił?

P. KOZEL. Nie panie Duval. Ale czyż można być młodym mężczyzną i nie zadziwić się, zobaczywszy taką piękność jak twoja córka.

DUVAL. A, toś pan dlatego krzyczał! No widzisz, że warto znać moją córkę. Nieprawdaż, co? Henryko, zapal świecę i poświeć nam na schody. Muszę sprowadzić tego pana.

P. KOZEL (n. s.) Piękna dziewczyna! Czy to ona, czy Towiański sprowadzili króla na to miejsce? (głośno, gdy Henryka zapaliła świecę). Ah pani, czy zasłużyłem na tyle dobroci? To światło w twem ręku jest zupełnie zbyteczne. Samo zjawienie się twoje rozjaśniłoby najgrubsze ciemności.

HENRYKA (śmiejąc się). Daruj pan, ale na ciemnych schodach nie oddałoby ci tej przysługi, co ta świeca.

DUVAL. Stań tutaj we drzwiach Henryko, będziemy już widzieć. Otóż i klucze (bierze je z szafy).

P. KOZEL (n. s.) Obym teraz szczęśliwie mogła się dostać na zamek. Ten niespodziany alarm popsuł mi szyki. Nie mogę czekać na wyjście króla, aby zobaczyć, czy i Towiański z nim będzie. Ale pugilares Randzaua może mi pomóc do rozmotania tego kłębka!

DUVAL. Pójdźmy panie oficerze.

P. KOZEL. Dobranoc, piękna pani. (Duval i pani Kozel wychodzą).

HENRYKA (staje w otwartych drzwiach ze świecą). Kapitan Moor!... Moor! Jakże pięknie brzmi to imię w mych uszach. Ah, jestem bardzo nierozsądna, zabawiając się temi myślami. Dzisiaj widzę go raz pierwszy, a może i ostatni. Ostatni!... o

nie chciałabym tego! Jakże on piękny, jakim zapałem świecą jego oczy, gdy się do mnie odzywa...

DUVAL (wraca). Przecież sobie raz poszedł.

SCENA ÓSMA.

DUVAL. HENRYKA. RANDZAU. KRÓL.

DUVAL (idąc do drzwi pokoju gdzie się król i Randzau udali.) Możecie panowie wejść, jesteśmy już sami. Ront przyprowadził jakiegoś oficera, który pragnął, aby go pan Randzau uwolnił z pod aresztu. Lecz pokazało się, że nie należy do garnizonu, więc i bez protekcji puszczono go wolno.

RANDZAU. Teraz panie Duval, nikt nam już zapewne nie przeszkodzi pogawędzić przy butelce Xeresu.

(Duval idzie do szafy po wino.)

KRÓL (do Randzaua). Zakrzętnij się koło starego, chciałbym swobodnie rozmawiać z Henryką.

RANDZAU (do króla). Rozumiem swoją rolę. (głośno) Dawno nie miałem sposobności pogadać z tobą panie Duval, a wiesz, jaką rozmowa z tobą sprawia mi przyjemność. (Duval się kłania). Siadaj pan tu. (Sadza go). Przez ten czas nazbierało się wiele wiadomości. Wypadki pędzą teraz lotem piorunu.

DUVAL. Znasz mię pan, panie adjutancie, że niczego nie słucham z taką ciekawością, jak polityki. A pomimo spóźnionej pory z tak miłymi gośćmi...

RANDZAU. No, pijmy i słuchaj, panie Duval.

(Randzau i Duval siedzą przy jednym stoliku, tak że Duval obrócony jest tyłem do drugiego, przy którym siada Henryka i król, również nie widzący Duvala. Randzau i Duval pijąc rozmawiają. Randzau od czasu do czasu rzuca okiem na parę przy drugim stole.)

KRÓL. Panno Duval, dzień dzisiejszy ktoś mi ciebie dał poznać, będę liczyć między najszczęśliwsze w życiu.

HENRYKA. Znowu muszę słyszeć od pana nową grzecznośćkę? Nie gniewam się jednak o to, a wiesz pan dlaczego?

KRÓL. Ponieważ pani jesteś przyzwyczajoną do podobnych holdów.

HENRYKA. Nie. Ponieważ mi się zdaje, że pan żartujesz.

KRÓL. To nazbyt srogie posądzenie! A cóżbyś pani odrzekała na to, gdybym powiedział, że raz cię poznawszy, nie zapomnę już nigdy, że jednym spojrzeniem opanowałaś całe moje serce!

HENRYKA. Kapitanie, to widoczna przesada. Czyliż można tak prędko pokochać?

KRÓL. Tak prędko? O wierzaj mi pani, kto nie zdolny pokochać w jednym mgnieniu oka, ten nigdy nie będzie kochał prawdziwie. Miłość powinna się rodzić szybko, jak błyskawica ze starcia chmur. Dwie istoty przeznaczone dla siebie spotykają się... w ich duszach krąży wezbrane uczucie... czyż zobaczywszy się, nie powinny od pierwszej chwili zdrzeć w głębi swojego serca? Wszakże każda z nich widzi to, do czego w tajemnych swych pragnieniach zawsze dążyła! Wszakże teraz

otwiera się dla nich ten świat, w którym się właściwie ich życie rozpocznie! Czyliż tu ożywcza atmosfera nie napełni w jednej sekundzie nowym tchem ich piersi? Któż z nas, otoczony grubą ciemnością, a w takiej żyje każdy człowiek, dopóki nie kocha, nie zostanie natychmiast uderzony widokiem światła, jeżeli nagle wśród tej nocy pochodnię ktoś wniesie?

HENRYKA. Pięknie mówisz kapitanie, widać, że słowa płyną ci z głębi duszy. Pan wiele musiałeś już kochać.

KRÓL. Moja wymowa nie koniecznie musi być skutkiem długiego doświadczenia. Być może, iż tylko nieugaszone dotąd pragnienie zapał mój podnieca. Tak panno Duval, miłość jest piękną rzeczą! Do szczęścia człowieka potrzebnem jest, aby kogoś ubóstwiał. A któż ubóstwia więcej, jak dwoje tych ludzi, którzy oprócz siebie nikogo nie widzą na świecie!... Ale pocóż ja pani mówię o tych rzeczach? ty sama wiesz o tem najlepiej, ty sama czujesz, jakim rajem jest miłość!

HENRYKA. Kapitanie Moor, dziś po raz pierwszy to uczulam!...

KRÓL (biorąc ją za rękę). Panno Duval!

RANDZAU (spoglądając na króla a mówiąc do Duvala.) Tak, panie Duval, jestto maksymą strategiczną, nie dać odetchnąć słabnącemu nieprzyjacielowi. Tym sposobem pokonywał wrogów Cezar i wielu jeszcze innych.

HENRYKA. Nie śmiej się pan ze mnie, ale przez głowę przeszło mi dziwne przypomnienie, kiedyś cię ujrzała tak z zapalem mówiącego.

KRÓL. I jakież to przypomnienie?

HENRYKA. Pan jesteś bardzo podobnym do króla...

KRÓL. Do króla? Już to nie jeden mi mówił. Pani znasz dobrze króla?

HENRYKA. Raz tylko jeden go widziałam, kiedy wracając z rewii, na czele wojska przez miasto przejeżdżał. Szłam wtedy ulicą, gdy nagle głos mię doleciał: król jedzie, król jedzie! W mojem życiu nie widziałam nigdy żadnego króla, zdjęta ciekawością stanęłam...

KRÓL. I przekonałaś się, że toż samo można widzieć, patrząc na króla co i na innych ludzi?

HENRYKA. Nie. Jego widok uczynił na mnie głębokie wrażenie. Ujrzałam w nim to, co pozostawia ślad w naszej duszy... Przez jakąś chwilę oczy moje spotkały się z jego wzrokiem, czułam po rumieńcu na twarzy, że mnie widział...

KRÓL (jakby do siebie). Nie mogę sobie przypomnieć.

HENRYKA. Co pan mówisz, kapitanie?

KRÓL. Mówię, że musiałaś się pani spodobać królowi.

HENRYKA. Wkrótce odwrócił gdzieindziej głowę i spoglądał po oknach. Otóż teraz, gdyś pan mówił z takim uczuciem, rysy twoje przypomniały mi żywo oblicze króla w owej chwili. Uderzył mię ten sam blask oka, tak samo czoło podniosłeś do góry jak on...

KRÓL. Chciałbym królem być, jakże on szczęśliwy!

HENRYKA. Dlaczego mój panie?

KRÓL. Czyż nie zostawił w twej duszy tak silnego wspomnienia? Czyliż on nie jest potężny, czyż nie ma władzy i bogactw, aby za jednym skinieniem udarować cię całym szczęściem ziemi, otoczyć blaskiem i przepychem, wnieść na najwyższe szczeble społeczeństwa, do czego prawo dają ci twój umysł i piękność?

HENRYKA. Mylisz się mój panie. Patrząc na króla, nie myślałam o jego koronie, godności i bogactwach, widziałam tylko człowieka, który byłby zdolny zawładnąć moją duszą. Słyszałam nieraz o królu. Mówiono mi wiele o jego dobroci, o jego uprzejmości i wspaniałej duszy. Kapitanie, aby osiąść moje miłość, dosyć mieć jego przymioty i serce.

KRÓL. Więc kochaj mię Henryko! ja wszystko, co ma król posiadam, jego postać, jego serce a nawet jego koronę! (zrzuca perukę i płaszcz, na jego sukni widać wyszyty order słońca). Czy mię poznajesz Henryko? czy jestem tym, którego kiedyś na czele wojska widziałaś?

HENRYKA. Ha, król!

KRÓL (klękając). Kochaj mnie, kochaj Henryko! (Całuje jej rękę).

HENRYKA. Boże mój! co się ze mną dzieje!

DUVAL (odwracając się). Co ja widzę? Co znaczą ten płaszcz i peruka na ziemi? Czy to pan jesteś, kapitanie? (przybiega do nich, bierze króla za rękę i przypatruje mu się). Panie Moor, czy się oświadczasz mojej córce?

KRÓL. Henryko, Henryko, podnieś na mnie swe oczy!

HENRYKA. Powstań Najj. Panie.

DUVAL (odskakując) Najj. Panie! (odwraca się i staje osłupiały przed Randzauem). Najj. Panie?

RANDZAU. A tak: Najj. Panie! Mości Duval, raz pierwszy w życiu doznałaś podobnej niespodzianki.

KRÓL (powstaje). Daruj panie Duval, że cię w ten sposób podszedłem. Stało się. Kocham twoją córkę i pozyskałem jej wzajemność. Za miłość, którą mi ona ofiaruje, uczynię dla niej wszystko, co tylko monarcha uczynić zdoła. Henryko, ty będziesz moją?

HENRYKA. Najj. Panie — na zawsze.

KRÓL. Dziś po raz pierwszy usłyszałem twe imię i pochwały twojej piękności. Ciekawość, a raczej jak poznaję przeznaczenie sprowadziło mnie tutaj. Ujrzałem więcej, niż widzieć się spodziewałem, i posiadałem twoje serce, któremu pragnął za pierwszym na ciebie wejrzeniem.

HENRYKA. Ah, czy mnie zmysły odchodzą, czy ja marzę?

DUVAL (n. s.) Nie, nie mogę zrozumieć, czy to prawda, że moja córka mogłaby zostać baronową, hrabiną, księżną...

RANDZAU (n. s.) Otóż komedia dobiegła do swego kresu. (Zbliżając się do króla ciszej). Widać, że dla szczęśliwych czas nie istnieje. Konferencya z panem Towiańskim jużby się była dawno skończyła.

KRÓL (n. s.) Randzau jesteś niemilosierny. Lecz prawda, pani Kozel pomimo mojej prośby, liczy zapewne chwile naszej nieobecności. (Głośno.) Henryko musimy się pożegnać. Ale do jutra tylko, do jutra. Przybędziemy tu znowu z Randzauem.

HENRYKA. Najj. Panie, nie zapomnij!

KRÓL (podnosząc perukę i płaszcz i kładąc je na siebie). Teraz powróćmy do swojej roli. Henryko, kiedy jestem napowrót ka-

pitanem Moorem, nazwij mię choć raz po imieniu. (Podaje jej rękę).

HENRYKA (ściskając ją mocno.) Auguście!...

KRÓL. Do widzenia. (Oddala się z Randzauem.)

HENRYKA (patrzając za odchodzącym). Auguście!... Jakżem szczęśliwa, że mogę wymawiać to imię!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DO TEOFIŁA BENARTOWICZA.



Benartowiczu! spiewaku polski!
Jakże cudownie na pola, jary,
Na góry, rzeki zabrzmiał nam stary
Zygmunt krakowski, dzwón apostolski,
Opowiadając o urodzinach,
O urodzinach i o swych chrzcinach!
Nieczuły kruszec w głuchej zadumie,
A niechno zagrzmi, huknie, zajęczy,
Miłość i boleść tak wylać umie,
Że człowiekowi dusza rozdzwięczy.
Lecz tych zrozumieć dźwięków nie zdoła,
Kto ich nie słucha uchem anioła.

I pierś człowiecza, jak ten spż dzwonów,
Głucha i niema, w sobie zamknięta,
Niezrozumiała i niepojęta,
Tai w swej głębi świat boskich tonów;
Ano gdy zabrzmie we wieszczem słowie,
Słuchają pieśni jej aniołowie.

Lenartowiczu! wieszczu po bolu!
Jakiżto znowu obraz precudny??
Taki uroczy, taki ułudny,
Że zda się w złotem rzeźbiony polu;
Złoty ten obraz złotego wieku
Radość i smutek budzi w człowieku.

Król w złotym czepcu z radą i dworem
I z wiernym ludem zszedł do giserni,
Wśród dzieci ojciec świecący wzorem,
A wszyscy, wszyscy wiarą pancerni.
Stanęli kołem — miech żar podnieca,
Topi się kruszec we wnętrzu pieca.

Forma gotowa, więc w piec giserski
Król rzuca zbroję, tuż za nią wpadło
Biskupie berło, wpadł miecz rycerski,

Hetman buławę, kmieć rzucił radło.
I dzwon zadzwonił polskiej koronie,
A wiek Zygmunta gada we dzwonie.

Wieszczu-tułacz! bracie po krzyżu!
Wiek ten, wiek siły z chwały kolosem,
Zagadał w piersi twojej jak w spiżu,
I zabrzmiał w słowie anielskim głosem.
Kto sercem w głosie tym się zastucha,
Temu rozdzwięczą wsze struny ducha.

Lenartowiczu! druhu po pieśni!
O! co się w pieśniach twoich nie mieści!
Wszystkie radości, wszystkie boleści,
I co nam śni się i co się nie śni.
Lud swe pieśniane zwierzył ci serce,
Niańcz je pieśniami, niańcz w poniewierce.

Hartuj na krwawe w życiu zapasy,
Strój świat rodzinny w rodzinne stroje;
Bo lud podziwia bogate krasy,
A kocha sercem piękności swoje.
Bóg dał ci mowę pieśnianą ludu,
Spiewaj o cudach pragnącym cudu.

Duch mistrza w dziele swem się spowiada,
Pieśnią rozprasza lub zbiera chmury,
Tchnie życie w obraz, w drzewo, w marmury—
Ot i w kamieniu dusza twa gada.
Zaprawdę wieszczu! łaska to pańska,
Niebiańska rzeźba i pieśń niebiańska.

Widać, że taka Boża jest wola,
Abyś zasłynął z rylca i dłuta,
Aby zabrzmiała, w głazie wykuta,
Światu myśl polska i Polski dola.
Sługo! na Pańskie pomny rozkazy,
Duchem swym zimne ożywiaj głązy!

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFMANOWA.

(STUDIUM BIOGRAFICZNE.)

W jednej z najromantyczniejszych ustroni paryskiego smętarza Pére-Lachaise, gdzie tyle sercu naszemu drogich zwłok spoczywa, wśród woni kwiatów ręką rodaków zaszczerpionych, wznosi się naprzeciw grobów Lafonatina i Moliera, wspaniały pomnik, dłuta słynnego rzeźbiarza polskiego Władysława Oleszczyńskiego. Z szerokiej podstawy czworobocznego głazu wystrzela w górę śmiała kolumna, a z jej szczytu spogląda łagodnym wejrzeniem popiersie kobiety o gładko przyczesanych włosach a twarzy tak sympatycznej i szlachetnej, iż mimowoli na dłuższą chwilę więzi oko przychodnia. Na tym pomniku znajdują się następujące napisy: na podstawie: Wszystkie dzieci polskie mojemisą dziećmi—na gzymsie środkowym: Matki i dzieci zmówcie za nią modlitwę—a na koniec na kolumnie pod samem popiersiem: Klementynie z Tańskich Hofmanowej rodacy.

Otoczające pomnik akacje szemrzą tak melancholijnie... budząc dawne wspomnienia i naprowadzając na myśl owe chwile młodości, kiedy podziwialiśmy utwory niewygasłej pamięci Klementyny i czerpali z nich zasady religii, moralności i gorącej miłości ojczyzny. Powietrze w około przesiąkłe wonią róż i jaśminu... Zdała kwili smętna ptaszyna... Usiądźmy u stóp głazu i puśćmy wolne wodze wspomnieniom.

Szczupły jest zastęp Polek, których imiona wywalczyły sobie w literaturze naszej prawo obywatelstwa. Już to w charakterze niewiast naszych nie leży mania walczenia z męzkim duchem o pierwszeństwo. Niemieckich „blaustrumpfów“ nie znajdziesz między Polkami; francuskie filozofki nie wywołały u nas naśladownictwa, a angielskie lub amerykańskie apostołki emancypacyi nieznaczną tylko u nas wzbudziły sensację, która nawet w pismach skutecznie się nie objawiła. Natomiast jeżeli autorka polska pojęła dobrze swoje posłannictwo, jeżeli daleka od przekraczania granic, stanowiskiem w społeczeństwie jej zakreślonych, z zapalem poświęciła się swojemu zadaniu, jeżeli wyższy talent, który jej przypadł w udziale, usposobił ją do dokonania tego, co zamierzyła, i ciągle tylko z prawdziwie kobiecym sercem szedł w parze, natenczas wyrozić się z niej musiała taka Hofmanowa, prawdziwy typ polskiej autorki, jakiej nam pozazdrościć mogą obce literatury. Tylko taka Polka, taka córka i żona, jak Klementyna, mogła osiągnąć tego stopnia uwielbienia w narodzie.

Wiek XVIII dobiegał do ostatecznego kresu, gdy w małej wiosce w Wyczulkach, o 6 mil od Warszawy, własności późniejszego ministra Księstwa warsz., Łuszczewskiego, mieszkało wypadkami krajowemi zubożałe, lecz szczęśliwe miłością stadło: niemłody Tański, dawniej jeden z zasłużonych lekarzy z czasów Stanisława Augusta, z żoną swoją Maryą z Czempińskich, córką po słynnym lekarzu. Rok 1798 wielkie zadał im klęski, ale i wielką przyniósł im pociechę. Tańska wyjechawszy w tym celu do Warszawy, powiła tamże na dniu 29. listopada trzecią z rzędu córkę, która kiedyś stać się miała ozdobą całej rodziny i kraju; była nią nasza Klementyna. Matka jej przed swą słabością wczytawszy się z zajęciem w romans Ryszardsona „Grandison“, postanowiła ochrzcić spodziewane dziecko imieniem bohatera lub bohaterki romanisu; ztąd też jej imię. Tak wspomina autorka sama o tem zdarzeniu w swych pamiętnikach, dodając, iż chrzestnymi rodzicami jej byli według ówczesnego zwyczaju dziad kościelny i baba z kruchty. Za ledwie dzieckiem wróciła Tańska do Wyczulek, gdy materyalne stosunki tej rodziny tak się pogorszyły, iż Tański przyjąć musiał wezwanie do Puław ze strony księcia Czartoryskiego, przy którym objął obowiązki literackiego sekretarza. Małą, trzechletnią Klementynę, którą—rzekłszy nawiasem—piastunka nie zupełnie trzeźwa opuściwszy, nabawiła kalectwa przez usunięcie łopatki, zabrała ze sobą do Izdebną panna Dorota Szymanowska, szesnastoletnia córka właścicielki tej włości, Anieli ze Świdzińskich Szymanowskiej, starościny wyszogrodzkiej, gdzie prawdziwie macierzyńską troskliwość i opiekę znalazła. Roku 1805 zmarł nagłą śmiercią ojciec Klementyny; rozpacz rodziny była nie do opisania, została ona bez najmniejszych sposobów do życia i skazana na nędzę, gdyby nie pomoc księżny Czartoryskiej, która wdowę zatrzymała nad trzy lata u siebie. Po upływie tego czasu sprowadziła się matka Klementyny z córkami do Warszawy, częścią dla ich wychowania, częścią w celu wydania pośmiertnego pism zmarłego. Droga prenumeraty uzbierała do 26000 złotych polskich, które ulokowała na procenta u rozmaitych osób. Nader szczupłe były dochody, i rodzina ta w największej żyła na Starem Mieście mierzności. Ciężką więc szkołę życia przeszła Klementyna. Igłą i uczeniem młodszej siostry dopomagała matce. Będąc już dorosłą panną, okazywała się nader obojętną wobec mężczyzn; ubierała się jak najskromniej, bez względu na wymagania mody; ale ta zewnętrzna obojętność świadczyła dowodnie, że duch jej górował nad pretensjami ciała. Nie dbając o siebie dzień i noc trawiła przy pracy, szyjąc

wyprawę dla swej starszej siostry, która ją zwała swoim aniołem. Już w tym czasie zdradzać poczęła wielkie talenta, a częsty gość w tym wdowim domu, Woronicz, dawny Tańskiego przyjaciel, odgadł jej wrodzone zdolności i podsuwał jej dzieła Kochanowskiego, Skargi, Krasickiego itp. Utwory te sprawiły na niej takie wrażenie, iż zbrzydziwszy sobie francuzczyznę, w której na dworze Szymanowskiej wychowaną została, z zapalem rzuciła się dopiero w roku 1818 do wprawiania się w macierzyńskim języku. „Spiewy historyczne“ Niemcewicza, których cały nakład pierwszy w kilku miesiącach rozchwytno, rozentuzyzmował marzycielkę. Pierwszy raz wówczas spróbowała się w autorstwie i napisawszy dwa „Synonimy“ posłała je za radą matki i sióstr bezimiennie do redakcyi „Pamiętnika Warszawskiego“. Jakaż była radość młodej autorki, gdy po długiem oczekiwaniu, po upływie dwóch miesięcy, ujrzała pierwszy swój utworek drukowany. Chwila ta rozstrzygnęła o jej losie.

Postanowiła nie wyjść nigdy za mąż, tylko po święcić się wyłącznie literaturze. Zaledwie przełożyła powiastkę z francuzkiego Marivaux pod tyt.: „Sans y penser“ i odesłała ją do „Pamiętnika“, gdy ciotka jej we Wrocławiu zamieszkała, nadesłała jej niemieckie dziełko Jakuba Glatza pod tyt.: „Rosaliens Vermächtniss an ihre Tochter Amanda“, zawierające przestrogi umierającej matki dla pozostającej sieroty. Utwor ten natchnął Klementynę nową myślą, i wkrótce podług tego pierwowzoru po części naśladowane, po części oryginalne, opuściły prasę jej „Rady czulej matki córce swej Amelii, przez młodą Polkę“, których napis zmieniła później na „Pamiętkę po dobrej matce“. Poczciwy szwagier pożyczył funduszków, a publiczność rozchwytała pierwsze wydanie tak szybko, iż księgarz Łątkiewicz drugie natychmiast gotować zaczął. Już w r. 1827 przełożono „Pamiętkę“ na język rosyjski.

Literaci ówczesni, między innymi mianowicie Marewicz, zwrócili na autorkę szczególną uwagę publiczności, mieniając ją przyszlým zaszczytem narodu. Tem zachęcona ułożyła stosownie do 12 miesięcy roku 12 opowiadań, z których każda jednemu z nich odpowiadała i za tytuł jego nazwę otrzymała. Znany ksiądz Siarczyński, kanonik jarosławski i bibliotekarz, surowy krytyk Niemcewicza, jak z jednej strony odtąd ją zachęcał, tak z drugiej nie szczędził rad i poprawek; jemu też wiele ona zawdzięczała i z uznaniem o nim w pamiętnikach swoich wspomina.

Pobył Napoleona w Warszawie wpłynął wielce na jej gorącą miłością ojczyzny przepełnione serce; w tym czasie entuzyzmu dla Francyi i jej przedstawiciela, była ona jedną z garstki tych jasnowidzących, którzy pojęli, czego po nim spodziewać się mają.

To też, gdy później zgon tego półboga Europy przeraził narody, z których połowa drżała przed nim, a połowa na nim wszystkie swe nadzieje pokładała, Hofmano-

wa takie w pamiętniku swoim pamięci jego poświęcał wyrazy:

„Stanąła dusza jego przed Najwyższym sędzią, a ciało, nic się nie różniące od ciała prostego wyrobnika, wróciło do ziemi. Ten, który życiem milionów rozrządzał, przed którym drżał świat cały, stoi sam, bez władzy, przed tronem Przedwiecznego... trwoga jego większa jest może od trwogi tego żołnierza, którego niegdyś nie za człowieka, ale za rzecz uważał“.

W pierwszych dniach lipca 1822 r. wyszedł na widok publiczny pierwszy tom nowej pracy literackiej naszej autorki pod tyt.: „Amelia matką“, a w grudniu t. r. tom drugi. Klementyna żali się w pamiętnikach, iż z początku dzieło to nie zrobiło należytego wrażenia i naraziło ją na pierwszą ostrzejszą krytykę; drugi tom dopiero zjednał jej ponownie przyklask ogólny. Następne tomy tego dzieła ukazały się r. 1823, a na publikację tychże otrzymała Klementyna od ówczesnego ministerjum oświaty zapomogę w kwocie 3.000 złp. Zaledwie manuskrypt ten ukończyła, już nowy zamiar powstał w duszy płodnej autorki. Córeczka jej siostry (późniejsza pani Helena z Tarczewskich Radwanowa) kończyła właśnie rok czwarty. Długo rozmyślała ciotka, jakaby ulubienicy swojej w dzień urodzin sprawić niespodziankę. Czuliła ona, iż nie podarki przemijającej wartości powinny być tłumaczem jej przywiązania do lubego dziewczęcia; trwalszą zatem pamiętkę jej i równocześnie całemu jej rówieśnic gronu postanowiła w dniu dla niej tak uroczystym ofiarować. W ten sposób powstała znana powszechnie, ulubiona dziełek książeczka pod tyt.: „Wiązanie Helenki“. Matki polskie i pedagogowie z takim powitali „Wiązanie“ uniesieniem, iż niezmordowana autorka oddała się całą duszą poddanej jej myśli wydawania pisemka peryodycznego, poświęconego (według jej wyrażenia) „narodowości, cnocie i dzieciom“. Pod skromnym napisem „Rozrywek dla dzieci“ pojawił się pierwszy numer tego czasopisma na dniu 1. stycznia 1824 r. Wpływ tego wydawnictwa na młode pokolenie ówczesne był niesłychany; wszędzie gdzie potąd francuzczyzna tylko w wychowaniu dzieci górowała, zastąpiono ją wychowaniem narodowem, którego wyborny sposób podawały „Rozrywki“ Klementyny. W czasopiśmie tem, sposobem umysławiającym a bawiącym dziecinny umysł, zapoznawała ona młodzież z własnym krajem i jego historią, zwracając jej uwagę na piękność rodzimych okolic i narodowe pamiętki, z niemi się wiążące, na zwyczaje i pieśni ludu, przebiegła całą Wielką i Małopolską, Ruś i Litwę, zajmując nie tylko młodzież ale i starszych. „Rozrywki“ stały się nie tylko organem polskiej młodzieży, ale i pismem poszukiwanem przez starszych. Tego, co tak świetnie ukończył Wacław z Oleska, Kolberg i inni, pierwsze początki zawdzięczamy Hofmanowej. Prócz tego podając w tem czasopiśmie najpiękniejsze wyjątki z dzieł



dawniejszych polskich pisarzy obznajamiała ona ogół z klejnotami ojczystej literatury i wykazała, „że Polak najpierw we własnym domu znaleźć może to, czego po obcych szuka progach.“ Wydawnictwo to przetrwało cztery lata; ostatni zeszyt pojawił się w grudniu 1828 roku. Dziesięć tomów „Rozrywek“, pominałszy tyle innych dzieł Hofmanowej, jużby zapewniły tejże imię w literaturze naszej. Łukasz Gołębiowski i Kazimierz Brodziński stałymi byli jej współpracownikami.

Roku 1825 poniosła Klementyna niepowetowaną stratę: matka jej po długich cierpieniach zakończyła życie. Klementyna stawia ją jako wzór matek i tylko z panią Sevigné odważa się ją porównać. Z końcem stycznia tego roku mianowaną została Hofmanowa przez Komisję oświecenia eforą (damą dozorową), a następnego roku nauczycielką w instytucie guwernantek. W pamiętnikach jej znajdujemy przy tej sposobności dopisek charakterystyczny, iż ta nominacja „bawiła ją“, i „że 28 piór publicznie jej pochwałami się zajęło“. Warszawskie towarzystwo Przyjaciół Nauk powzięło zamiar zamianować ją członkiem swoim; byłby to pierwszy przykład w Polsce, gdyby nie zazdrość i zawiść kilku arystokratek, które temu przeszkodziły. „Revue Encyclopédique“ pochlebnie nader o niej się wyraziła i przyznała jej nawet umiejętność łaciny, co bardzo naszą autorkę rozśmieszyło. Jak surowych była obyczajów, widzimy z jej notatek, gdzie niemal z żalem wyraża się, iż w lutym 1827 r. pierwszy i ostatni raz odważyła się być na maskaradzie. Roku tegoż w czerwcu mianowaną została nadzorczynią wszystkich szkół żeńskich w Warszawie z pensją dożywotnią 6000 złp. i dodatkiem 2000 złp. za udzielanie nauk. Dekret ten motywuje Komisya oświaty „zasługami jej na polu literackim i wychowania młodzieży, tudzież bezpłatnem wykładaniem nauki obyczajowej w Instytucie guwernantek“.

Rok 1829 stanowi epokę w życiu Klementyny. Jeszcze w r. 1822 poznała ona na imieninach swej matki 24letniego Karola Aleksandra Hofmana, który właśnie wtenczas jako jeden z pierwszych męczenników sprawy narodowej wyszedł był z ciężkiego więzienia. Pięć lat trwała znajomość; biedny, urzędów pozbawiony Karol nie śmiał objawić jej uczuć swoich, dopiero r. 1827 podczas szlichtady do Wilanowa odważył się oświadczyć pannie. Lekko ułomna, choć nader sympatyczna i miła Klementyna nie chciała wierzyć swemu szczęściu, tem bardziej, że postanowiła już nie zmieniać panieństwa, jak to wyżej wspomnieliśmy. „Zdawało mi się— pisze w pamiętniku— iż on powinien się żenić z piękną, z młodą... że miłość i małżeństwo nie dla mnie“. Wierność Karola rozbroiła ją. W 30tym roku swego życia połączyła się z nim węzłem małżeńskim, i wtedy ułaskawiony Hofman otrzymał posadę radcy bankowego.

Powstanie roku 1831 zastało ich nader czynnymi w

Warszawie; on wysłany przez rząd narodowy do Niemiec starał się o zaciągnięcie pożyczki, ona odłożywszy pióro założyła „związek dobroczynności Warszawianek“ i w lazaretach z poświęceniem pełniła ciężką służbę. Po upadku Warszawy Hofmanowa musiała opuścić ojczyznę. Na odjeździe damy warszawskie wręczyły jej pierścień kosztowny z wierszem pożegnalnym. We Wrocławiu zastała list od męża, który natenczas był w Paryżu, dopiero w listopadzie przyjechał po nią i zabrał ją ze sobą do Drezna, gdzie byli świadkami gościnności Sasów w podejmowaniu polskich rozbitków. Tu Klementyna poznała Mickiewicza.

Niedługo jednak w Dreźnie spoczywać mogła nieśczęśliwa para wygnańców. Poseł rosyjski przy dworze saskim zażądał wydalenia ich z tej stolicy. Hofmanowie puścili się zatem w dalszą tułaczkę do Mekki emigracyi naszej każdorazowej, do Paryża. Odgłos jej sławy wyprzedził ją i w Paryżu. Najznakomitsi francuzcy i nasi obecni tamże mężowie ubiegali się o jej przyjaźń. Beranger, 76letni Niemcewicz, 73letni Kniaziewicz, Mickiewicz, były minister Mostowski byli jej przyjaciółmi i stanowili zwykłe jej otoczenie. Jeden z najsłynniejszych portrecistów kobiet Deveria, odrysował jej—jak sama wspomina—czternasty z rzędu portret, na żądanie wydawcy dzieła „O Polakach“.

Zdrowie Hofmanowej jednak podupadać zaczęło. Kaszel mocny, suchy, zwiastun nieuleczonej choroby, z każdym dniem się wzmagał. Prócz tego mała narość pod pachą sprawiała jej wielkie cierpienia. Znakomity lekarz Polak, Marcinkiewicz, i sławny chirurg paryski Roux radzili operację, i dokonano jej wprawdzie szczęśliwie 9. stycznia 1834, lecz wkrótce okazała się potrzebę drugiej operacyi. Mimo tych cierpień i wielkiego osłabienia nie przestawała Klementyna pracować, i na wzór warszawskiego instytutu guwernantek poczęła udzielać lekyi przebywającym tu uczniom polskim. „Miło mi— powiada w pamiętnikach swoich— że nawet mimo takiego oddalenia od kraju ciągnę dalej moje obywatelskie przysługi, młode Polki kształcę, zamiłowanie języka i cnoty w nie wpajam“.

W czerwcu 1833 powzięła zamiar odwiedzenia Londynu z przyjaciółką swą panią K., jednak tylko do Boulogne sur mer dojechały; choroba towarzyszki i tęsknota za mężem przyspieszyły po dwóch tygodniach niebytności jej powrót. Dopiero roku 1837 za poradą lekarzy zwiedziła z mężem Szwajcaryę; wspomnienia Berna, Fryburga, Genewy, niebotycznego Montblanc są pełne zachwycenia; ale mimo to wrywa jej się mimowoli westchnienie: „Wszystko to urocze, ale nie nasze!“ W październiku wróciła do Paryża. Wydawszy „Karolinę“ i „Krystynę“ rozpoczęła w 16 lat po powzięciu pierwotnej myśli powieść, niemal epokę w powieściopisarstwie naszym stanowiącą, „Jana Kochanowskiego w Czarnolesiu“. W maju 1842, po otrzymaniu paszportu pruskiego, puściła się nagłona przez le-

karzy, przez Moguncję, Frankfurt, Drezno, Wrocław w Poznańskie, by odwiedzić ciotkę i odetchnąć ojczystem powietrzem, na którym jej tak długo zbywało! Ztamtąd puściła się w podróż z powrotem do Szwajcaryi i Włoch, gdzie rok prawie cały przebyła. Uskuteczniejszy tu dla Milikowskiego we Lwowie układ „Pisma św.“, wysłała je ztamtąd do druku, a równocześnie prawie ukończyła swoje „Święte Niewiasty“. Zwiedziła przez ten czas Medyolan, Genuę, Florencję, a rok 1845 zastał ją w Rzymie. Pobyt tamże nie pozostał bez głębokiego wpływu na jej religijną duszę.

W kwietniu t. r. wsiadłszy w Genuy na statek opuściła Włochy i w Marsylii wylądowała u brzegów drugiej swej ojczyzny. Pierwszego maja stanęła w Paryżu, aby ostatnie chwile życia swego poświęcić usilnym staraniom podratowania zbyt nadwątlonego już zdrowia. Po owych operacjach szczęśliwie odbytych ukazał się na lewej piersi trzeci gruczoł, którego wycinać było niepodobna. Coraz wyraźniejsze symptoma astmy, bole ustawiczne gardła, i upadek reszty sił zatrwożyły męża i lekarzy. Jeszcze raz udało się tym ostatnim usunąć częściowo chorobę, tak dalece, iż w lipcu 1845 mogła Hofmanowa przenieść się do ulubionej swej letniej siedziby w Passy, do swej przyjaciółki pani K., nie spodziewając się, że tu znajdzie kres swojej pielgrzymki doczesnej. Tu bowiem znosząc straszne cierpienia z anielską cierpliwością i słodyczą i ciesząc się ciągle nadzieją powrotu do Paryża, zgasła nagle na dniu 19. września t. r. w objęciach zrozpaczonego małżonka.

Potrzebaż było, aby podobna matce w cnotach i nieszczęściach, i w sposobie śmierci od niej się nie odróżniła!

Zwłoki jej pochowano na smętarni Péro-Lachaise w Paryżu.

Z tego wszystkiego, cośmy o Hofmanowej powiedzieli, pokazuje się, jak niezwykła była to kobieta. Jako autorka na pomnik wieczny zasłużyła sobie obok Mickiewiczów i Niemcewiczów. Jej to jest zasługą, że młode pokolenie ówczesne mimo ciężkich klęsk krajowych i ogólnego zwątpienia nie zboczyło w wychowaniu swoim z kierunku narodowego. Tylko taka Hofmanowa usilnością swoją i talentem wielkim przełamać mogła owę nieszczęsną skłonność w naszym narodzie do francuzczyzny, i rozbudzić w młodych sercach zamiłowanie do tego co swoje. Ubolewać zatem tylko należy, iż rodacy tak mało autorkę „Jana Kochanowskiego“ się zajmują. Ogłoszono wprawdzie lat temu kilka w Warszawie, szczególnie za staraniem literatów tamtejszych, mianowicie K. W. Wojcickiego, składkę na pomnik dla Hofmanowej, jednak potąd nic nie wiemy o skutkach tych usiłowań. Warszawa, świadek tyloletnich zasług jej około dobra ojczyzny, zaledwie zdobyła się po dziś dzień na napis w krużganku kościoła OO. Reformatorów według jej życzenia: „Matki i dzieci, zmówcie zdrowaś Marya za jej duszę“. Kraków przechowuje przynajmniej serce jej w katedrze na Wawelu. A Lwów?... Boję się urazić ten gród szacowny zapytaniem, czy choć trzecia część mieszczących w nim kobiet, zna autorkę „Pamiętki“ po imieniu? Obecnie zajęto się projektem przeniesienia zwłok Mickiewicza do owych grobów krakowskich, na których wspomnienie drżą serca nasze. Nie będzie to, sędzę, niewczesną rzeczą, jeśli przy tej sposobności i Klementynę na pamięć ziomkom przywiodę. Czyż nie godzi się, aby ta, której dusza zawsze była wśród nas, choć ciało jej schło zdala z tęsknoty za ojczyzną, znalazła spokojny przybytek pośmiertny w tym polskim panteonie? Czyż nie dopełnilibyśmy naszego najświętszego obowiązku, gdyby na Wawelu obok sarkofagu wielkiego Adama legła choćby najskromniejsza kamienna trumienka największej z piszących Polek?

Aureli Urbanowski.

ŻONA EMIGRANTA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

PRZEZ

J. K. TURSKEGO.

(DOKOŃCZENIE.)

VI.

Oczarowany.

Śliczna Angielka żyła tymczasem w roszkaszach i zbytkach na wsi u pana Franciszka. Niczego jej tam nie brakowało. Sam do wygod przyzwyczajony nadskakiwał jej kochający ją Adonis, i przemyślał tylko nad

tem, czemuby jej jakąś niezwykłą sprawić niespodziankę. Nie do poznania odmienił się teraz ten człowiek. Zarzekając się na wieki miłości i wszelkich stosunków z kobietami, oszalał prawie przy pięknej Angielce. Nauczył się dla niej po angielsku, uległ wszystkim a wszystkim jej kaprysom, i gdyby mu kazała wywracać koziołki w salonie, z pewnościąby się nie sprzeciwił. Używała też pani Marya

swoich znakomitych wpływów na niego według upodobania całą garścią. I nie też dziwnego, że pewnego razu, a było to już w trzecim roku jej pobytu w domu pana Franciszka, zaproponowała mu, ażeby się z nią ślubem świętym połączył.

— Będzie nam jakoś lepiej — mówiła umizgając się do niego, gdy siedział w poobiedniej zadumie z fajką w ręku — i Dolek nasz wyszedłby na tem lepiej. Trzeba bowiem dodać, że miała już synka Dolka, podobniuteńkiego jak dwie krople wody do pana Franciszka.

— Dobrze to moja duszko — odrzekł jej na to, puszczając gestsze kłęby dymu pan Franciszek — owszem, owszem, ja nawet chciałbym tego jak najgoręcej, ale cóż kiedy jest ważna bardzo przeszkoda.

— Mój mąż? — spytała niby naiwnie.

— A tak.

— Czyby to nie można go jako uspokoić?

— A jakże?

— Możeby za jaką sumę zrzekł się swego nazwiska, pod którym tu przyjechaliśmy oboje, a możnaby potem nadrobić jakoś z papierami. Chciej tylko mój drogi, a wszystko na świecie można zrobić za złoto.

— Złota szczerdzić nie będę, wiesz przecie, że nie ma tej rzeczy, którejbyś tobie odmówił; jest jednak w tej sprawie nie mała trudność, która nam bardzo zawadzi.

— Próbuj tylko, próbuj — mówiła wygodnie rozpierając się w fotelu pani kochanka — nie wątpię, że ci się uda.

Pan Franciszek zajął się w rzeczy samej tą sprawą na seryo. Za poradą swego adwokata postanowił zapytać się swego brata, czyby nie zechciał umrzeć dla jego przyjemności po raz wtóry. Obiecywał mu za to tysiąc złotych, będąc pewnym że dla prostego węglarza taka suma, to chyba z nieba spadająca gratka. Czekał więc niecierpliwie odpisu. Pan Fabrycy zajął się pośrednictwem za obliczony procent z jednej i drugiej strony. Poszedł on do Krzysztofa. Nie zastał go rano; stary Wyźga oznajmił mu, że tylko wieczorem po zachodzie słońca zastać go można w domu.

— Ale tu pewno krucho z tym biedakiem? — spytał nawiasowo.

— Nie tak bardzo. Sam trochę zapracuje a trochę mu i ludzie dopomogą.

— Trafia mu się ładny interes.

— No proszę, a jaki też to? jeżeli można wiedzieć.

— Jesteś pan widzę przyjacielem Krzysztofa, to panu powiem.

— Słucham.

— On ma żonę, która ga porzuciła.

— Prawda.

— Teraz ta żona chce iść za mąż.

— O!...

— Ale ślub z nim zawarty stoi jej na przeszkodzie.

— Więc cóż?

— Trzebaby, aby on pozwolił na to, że się urzędownie ułoży akt jego zejścia.

— Jakto?

— Trzeba, żeby nibyto umarł.

— A! niechże Bóg broni.

— Ale nie rozumiecie tego. On może żyć jak najdłużej, ale to nazwisko, pod którym tu przyjechał, niechaj umrze.

— A ha! No więc cóż?

— A cóż. Trzeba żeby ze mną pogadał o tem, a później wszystko się ułoży. Za to dostanie parę set złotych.

— Parę set złotych? no, no... Ha! dobrze, ja mu to powiem.

Gdy wrócił Krzysztof, Wyźga opowiedział mu wizytę pana Fabrycego.

— Ej to nie wiosna! — odpowiedział na to i więcej o tem nie chciał słyszeć. Jakie miał powody swego uporu, nie mówił, dość że ciągle odpowiadał: Ej to nie wiosna. To samo odpowiedział stanowczo panu Fabrycemu, nie chcąc z nim nawet mówić o żonie ani o pieniądzech. Pan Fabrycy z kwaśną miną musiał zaniechać swych zabiegów.

Pan Franciszek zmartwił się bardzo, otrzymawszy list od pana Fabrycego z następującym ustępem: „Z szalonym tym człowiekiem nie można nic zrobić. Nie ma on już zdrowych zmysłów i nie rozumie swego interesu. Jedną tylko rzecz jest dla waćpana dobrodzieja w tej sprawie pocieszającą, że stary ten biedak nie długo już zapewne pociągnie.“ Z listem tym w ręku stanął przed swoim aniołem.

— I cóż?

— A czytaj. Marya przeczytała, skrzywiła się i rzekła z grymasem:

— Tacy ludzie najczęściej długo żyją.

— Więc cóż robić?

— Ja nie wiem. Przecież wy panowie jesteście do rady.

— Ale wy do natchnienia — wymówił z słodyczą wielbiciel.

— Nie wszystkich natchnień się słucha.

— Jak od kogo pochodzą.

— Czasem ich trzeba się domysleć.

— Więc może?

— Nic nie mówię.

Po tej rozmowie pan Franciszek troszeczkę zadrzał będąc sam ze sobą i zastanawiając się nad jej treścią. Nie mówił już więcej z Maryą o przeszkodach do ślubu, ona jakiś czas poprzestała go także namawiać do tego; w parę tygodni jednak po tem zażądała wyjazdu na parę dni do Krakowa. Przed wyjazdem napisała list do pana Fabrycego. Wspomniany już przez nas parę razy pan Fabrycy miał bardzo wiele znajomości, i to w najrozmaitszych warstwach społeczeństwa w Krakowie. Teraz więc po odebraniu listu od Maryi, która śnać dobrze jego charakter odgadła udając się do niego wprost z swoim interesem,

rozmyślał nad tem, kogoby ze znajomych swoich użyć do przeprowadzenia ułożonego planu. Maryi chodziło o widzenie się i rozmowę z Krzysztofem. Trzeba było urządzić schadzkę i niespodziewanie sprowadzić obie strony ku sobie.

Do znajomych Fabrycego należał pewien stary mieszczanin, mający dworek z ogródkiem na Zwierzyńcu i z zawodu wyłącznie poświęcający się loteryi. Nikt nie mógł tego powiedzieć stanowczo, co pan Sylwester Wyłębski (tak się zwał loterzysta) przez całe swoje życie robił, jak przepędził młodość, czy pracował nad czem, czy myślał kiedy o czem; wszyscy jednak na zapytanie o niego odpowiadali jednym słowem — loterzysta. Wyłębski całe życie stawiał na loteryi; czy wygrywał co? to było tajemnicą jego własną, przed nikim bowiem nie zwierzał się z tego, nigdy nie mówiąc najlepszemu przyjacielowi, jakie stawia numera. Był sam, miał jakąś starą Wikę prowadzącą mu gospodarstwo, o żonie ani rodzinie nie pomyślał nigdy. Miał lat około 60, był wzrostu dobrego, szczupły, siwawy, nie zarosły, po ulicy chodził zawsze z fajeczką na długim cybuchu, prócz loteryi zajmując się jeszcze przez lat 30 blisko procesem o kawałek ogrodu zabranego mu jak mówił nieprawnie przez klasztor panien Nórbertanek. Proces ten kosztował go niemało zdrowia i pieniędzy z początku, ale później przywykł już do niego, jak do loteryi.

Loteryjne jednak sprawy były głównem zadaniem jego życia. Budząc się codziennie i latem i zimą o czwartej godzinie rano, wstawał natychmiast z łóżka i zasiadał do stolika pod oknem ustawionego, niby zagorzały literat do odczytywania foliałów, poukładanych systematycznie, jak w bibliotece na stole i w szafce obok niego umieszczonej. Najprzód tedy brał do rąk księgę grubą oprawną w skórę, i w niej zapisywał sny ubiegłej nocy, naturalnie że nie słowami, ale ulubionymi szeregami liczb, do których tak się pan Sylwester przyzwyczaił, zamieniając z niesłychaną szybkością na nie każdą myśl i każdy wyraz, że prawie myślał liczbami, a niekiedy liczbami odpowiadał. Zapisawszy sny, brał potem duże tablice z szeregami liczb, wyszłych na różnych loteryach od lat 30 przeszło. Sam te loterye układał, własnoręcznie każdą liczbę na nich zapisywał, codziennie jednak poświęcał parę godzin na odczytywanie ich uważne i wyprowadzanie wniosków i możebnych kombinacji.

Widząc tego starca siedzącego nad temi liczbowemi tablicami, w okularach na nosie, z palcem wskazującym u lewej ręki podniesionym do góry, i giestykującego przy tem namiętnie nieraz i gwałtownie w miarę ważności przedmiotu loteryjnego, nie można oprzeć się porównaniu jego z żydem zatopionym w zgłębianiu talmudu, i zachwycającym się głębokością myśli swoich i uczuć. W zatopieniu tem talmudyczno-loteryjnym przesiaduje pan Sylwester najmniej z pięć godzin rano. Potem zbiera się i

wychodzi na przechadzkę. Obchodzi tedy wszystkie kantory loteryjne krakowskie począwszy od Bartla w rynku a skończywszy na Kazimierskim. Podgórze nie należy już do terytorium loteryjnego jego wycieczek. Odbywszy w ten sposób spory kurs przechadzki, powraca do domu, i teraz od 12tej do 2giej zajmuje się układaniem w rzędkie liczb przygotowanych z rana i w myśli na przechadzce. Po obiedzie idzie stawiać. Zachowuje przytem mnóstwo zabobonnych przepisów, które są świętem dla niego prawem. Wyszedszy na ulicę i spotkawszy się naprzód z niewiastą albo z księdzem, nietylko do nich nie zagada, choćby to były dobrze znajome mu osoby, ale musi splunąć przed niemi trzy razy.

Spotkawszy żyda, wita go uprzejmie i dokłada do każdej stawki po krajcarze. Gdy nad idącym wrona zakracze, spluwa za każdym krakaniem raz, gdy pies zaszczeka, gwizdże. Idąc z numerami na stawkę, nie zdejmuje czapki ani przed kościołem, ani przed figurą żadną, gdy przeciwnie idąc na przechadzkę kłania się wszędzie a nieraz i kłeka przed kościołem i modli się po parę minut. Spotkawszy człowieka, który mu się bardzo spodoba z wejrzenia, bez względu na jego stanowisko i godność, zaczepia go i pyta się o liczbę lat, czasem i o numer domu, w którym mieszka; a jeżeli się zdarzy, że zapytany nie umie powiedzieć liczby domu, pan Sylwester dowiedziawszy się o nazwisku właściciela i ulicy, pędzi czempredzej odczytać uroczą dla siebie cyfrę. I pełno takich bredni zajmuje zapalonego loterzystę. Bez loteryi żyćby nie mógł. Pamiętne zniesienie loteryi Straszewskiego w Krakowie przeplacił chorobą paromiesięczną, i dźwignął się z niej dopiero, kiedy mu donieśli, że w Krakowie otworzono kantor loteryi: wiedeńskiej, praskiej, berneńskiej i lwowskiej.

Jaki ztąd miał zysk, nikt nie wiedział. Mówili jednak ludzie, że ogromny posiadał majątek, jeno się z nim ukrywał przed ludźmi.

O nim tedy pomyślał pan Fabrycy, odczytawszy list pani Maryi.

— Ten człowiek może mi być przydatnym. Jego Wikta może się poznać z Maryą, a on z Krzysztofem. Przyniesie mu to oczywistą korzyść, a samo zdarzenie przysporzy parę rzędków liczb. Trzeba bowiem i to jeszcze dodać o panu Wyłębskim, że był nadzwyczaj chciwym na pieniądze, i za zyskany pewnie a bez pracy grosik byłby wszystko zrobił, byleby go to nie odrywało od zajęć loteryjnych.

— On sobie będzie siedział przy numerach, a oni mogą ze sobą rozmawiać. Tak pomyślał pan Fabrycy i zabrał się zaraz do dzieła, to jest, poszedł do pana Sylwestra i przedstawił mu całą sprawę z jak najkorzystniejszej dla niego strony.

— Trzeba żebyś pan, panie Sylwester, poszedł niby po węgle aż na Wesołą; można powiedzieć dla tego, że tańsze niby tam, niż na Zwierzyńcu.

— A kiedy ja nie potrzebuję węgla, bo mam wyproce-sowane z klasztoru.

— No to się panu da na kosztą parę złotych.

— Ha! tak to co innego.

— A o dniu, to ja panu dam znać. Trzeba także, aby Wikta była grzeczną dla pani Maryi, jak tu przyjdzie.

— No, no, już o to się nie bój, ona ma rozum i wie, co się komu należy.

Tak przygotował się plac boju strategicznie, oczekiwał pan Fabrycy przyjazdu Maryi. Wkrótce przybyła. Pan Franciszek nie przyjechał z nią. Dzień ukartowanej schadzki był wyznaczony. Pogoda sprzyjała intrydze. Było to bowiem w maju, w tym uroczym miesiącu prześlicznej wiosny krakowskiej.

Krzysztof stał jak zwykle przy rogu ulicy szpitalnej z koszem. Pan Sylwester nadszedł. Gromadka węglarzy znała starego loterzystę. Któżby go znał, jeżeli nie oni?

— 35, 12, 81 — zawołał Kazimierz.

— Psie głosy nie idą w niebiosy— odrzekł na to zgniewany napaścią pan Sylwester, tego rodzaju liczby poddawane zapisując jednak także w swej pamięci—chodźcie ze mną — rzekł do Krzysztofa — muszę tu kupić węgla, bo tu u was tańsze niż u mnie.

— Ale to daleko do jegomości — rzekł Kazimierz.

— Co się wtrącasz, kiedy nie do ciebie mowa. Daleko, to się zapłaci.

— O ho! Jegomość musiał trafić ekstrakt na siódemkę, kiedy taki hojny.

— Chodźcie, chodźcie, zarobicie sobie mój stary. Krzysztof nic nie mówiąc poprawił sobie taśmy u kosza i poszedł. Zarobek to był ciężki. Z Wesołej bowiem na Zwierzyniec to dobre ćwierć mili. Pan Sylwester powtórzywszy sobie parę razy przez drogę 35, 12 i 81, oraz ekstrakt na siódemkę, zagadywał z nienacka Krzysztofa o jego dom, rodzinę, ale wszystko bezskutecznie, bo odpowiedzi jego były bardzo lakoniczne. Tak, nie, ej to nie wiosna—to były słowa z ust Krzysztofa wychodzące. Przyszli nareszcie przed dom. Krzysztof był zmęczony.

— Wnijdziecie — mówił pan Sylwester — złożymy węgle w pokoju tymczasem, a wy sobie spoczniecie.

— Mniejsza o to! — Wszedł jednak, i złożywszy węgle czekał na pieniądze. Pan Sylwester wtedy poszedł do drugiego pokoju, w którym już czekała Marya. Za chwilę wyszła ona sama. Była blada (ślicznie jej było z tą bladością), można było nawet dostrzedz w jej oczach nieco pomieszania i wzruszenia.

— Krzysztofie! czy poznajesz ty mnie jeszcze?

Krzysztof na ten głos zadrzał. Spojrzał na mówiącą, jakies głębokie westchnienie wyrwało mu się z piersi, kosz wypadłszy z rąk obalił się na ziemię, a on zakrywszy sobie twarz obiema czarnymi rękami, okropną musiał przechodzić walkę w duszy, ale nie wymówił ani słowa.

— *Have piety for me* ¹⁾ — wyszeptala wtedy Angielka zbliżając się do węglarza, którego widok może i w jej zakamienialem sercu poruszył jaką strunę uczucia.

Krzysztof zgrzytnął zębami, ale nie wymówił ani słowa.

— Litości! litości — mówiła wtedy znowu jego żona, coraz tklawiej modelując ton swego głosu — Krzysztofie! przebac ty mi przed śmiercią moją zbrodnię, ja strasznie za nią pokotuję.

Krzysztof wtedy spojrzawszy na nią wzrokiem przenikającym do głębi duszy i serca, rzekł głosem, zdolnym i samego szatana rozbroić.

— Wielka pani! Ja ciebie nie znam wcale.

— Słusznie, słusznie, na wszystkie twoje wyrzuty zasłużyłam... ale moją pokutą zasłużę na twoją litość.

— Nie znam cię wcale, wielka pani! — powtórzył tym samym okropnym głosem i zbliżał się ku drzwiom podnosząc koszyk z ziemi.

— Krzysztofie! Krzysztofie! ja biedna matka chciałabym tylko widzieć nasze dziecię!

— Szukaj go sama, przecieżeś je zabrała ze sobą.

— O Boże! Boże! Tak gorąco ciebie błagałam o jego litość — zawołała wtedy Angielka załamując ręce w rozpacz — a ty o Boże przekląłeś mię widzę razem z ich przekleństwem. Krzysztofie, zaklinam cię na pierwszą lżę poświęconą mi na ziemi angielskiej.

— Nic nie pamiętam, daj mi pokój, wszystko się skończyło.—To rzekłszy znowu odchodził. Marya zbliżyła się do niego i porwała go za rękę.

— Na tej czarnej, spracowanej ręce ja złożę pocałunek jawno grzesznicy, ale ty mnie nie odpychaj ze wzgardą.

— Precz! — zakrzyknął wtedy w gwałtownem uniesieniu Krzysztof, wydzierając swoje ramię z rąk żony—Nieszczera twoja pokora wielka pani! Uwalniam cię od wszystkich uczuć dla mnie.

— Ja klękam przed tobą — zawołała klękając istotnie i próbując tego ostatniego teatralnego wrażenia.

— Precz! — rzekł otwierając drzwi gwałtownie.

— Gdzie Adaś? Gdzie Adaś? — wołała jeszcze za nim, ale go już w domu nie było; kosz przypasawszy na plecy poszedł szybkim krokiem do miasta.

— Nie udało się — rzekła poprawiając sobie włosy na głowie i powracając do drugiego pokoju — zatwardziały, trzeba innego poszukać sposobu—czy miała talent dramatyczny, o tem mógł najlepiej osądzić pan Sylwester, któremu nawet na lzy się zbierało, gdy słyszał jej rzewne prośby o przebaczenie.

— Coś hardy ten dziad — zauważała Wikta.

— Chce robić duże targi — zauważała Angielka, a ja bym mu nie tak powinna dziękować za to, że mię zrobił nieszczęśliwą i uwięził z ojczystej ziemi.

¹⁾ Miej litość nademną.

— Tak to tak, moja pani, a mężczyźni toby chcieli, żeby tylko dla nich wszystko dobrze się działo. Nie widziałam większych samolubów.

— Ha! trudna rada. Nie chce mówić ze mną, to mniejsza o to. Chciałam go wydzwignąć z biedy i postawić na nogi, kiedy nie chce, nie moja wina. Więcej dla niego i matka rodzonaby nie zrobiła. Widzieliście państwo, jakem go prosiła na wszystko, aby powrócił do mnie.

— Ej chłopisko jak wszyscy — zauważała Wikta — a przytem widzę, że i głupi.

— Zdaje się, że i na umyśle cierpi — mówiła Angielka.

— Gada od rzeczy jakby w gorączce.

— Ale ja państwo muszę przeprosić, żem im tyle zrobiła subjekcy — rzekła w końcu zabierając się do odejścia. Bardzo dziękuję wam za waszą grzeczność.

— O! prosimy bardzo — odpowiedziała Wikta, kłaniając się niezgrabnie.

— My się przecie zobaczymy jeszcze, a tymczasem proszę przyjąć jeszcze raz serdeczne podziękowanie. Panie Sylwestrze, żegnam pana.

Pan Sylwester siedzący już przy swych numerach, nie zwracał nawet uwagi na słowa Angielki, i dopiero gdy z pożegnaniem do niego się zwróciła, powstał i ukłonił się.

— Upadam do nóg wielmożnej pani dobrodziejce.

— Bądź pani zdrowa, dobra pani Wikto.

— *Adiu!* — rzekła Wikta.

— A wiele ma lat, proszę wielmożnej pani?

— Kto?

— Krzysztof.

— On będzie miał czterdzieści parę lat.

— Czterdzieści dwa, trzy.

— Czterdzieści trzy najwięcej.

— A wielmożna pani?

— Ja? Jestem od niego młodsza o 15 lat.

— A więc 28! Ślicznie dziękuję; a dzieciina?

— Chłopczyk będzie miał 12 lat.

— Ślicznie dziękuję; 43, 28, 12, pyszne terno! Upadam do nóg.

Angielka wyszła, i dopiero będąc na ulicy wybuchła gwałtownym gniewem żalu, nienawiści i zemsty. Żałowała swej bezkorzystnej pokory, nienawidziła swego nieprzyjaciela, i pałała zemstą za nieprzełamany upor nieskruszonego jej prośbami męża. O cóż jej jednak chodziło? Po cóż się udawała w pokorę, chcąc tylko usunięcia jego? Bardzo to naturalna logika. Chciała ona najprzód pojednać się z mężem, a z pojednanym zrobić swemi wpływami wszystko, co zechce. Wierzyła w moc swego oczarowywania, ale się na niem zawiodła. Wściekła namiętność zakłapała w jej angielskiej, mściwej i zapalonej krwi. Zagryzła wargi posiniałe ze złości, i pełna silnych postanowień pospieszyła do kamienicy swego męża, gdzie na nią oczekiwał Fabrycy.

VII.

Tajemnice.

Krzysztof z innym powracał do domu wrazeniem. Przytłumiony. mózg jego od ostatniej choroby wskrzesiła na chwilę scena w domu pana Sylwestra. Oprzytomniał na widok żony, niegdyś tak ukochanej i kochającej, ale gdy oprzytomnienie to minęło, ubezwładniał na nowo. Już na ulicę wybiegłszy wpadł w jakiś gorączkowy stan, który go zatrząsł dreszczem. Szedł do miasta, jakby instynktem tylko wiedziony, gdybyś się go jednak zapytał, zkąd wraca i co mu jest takiego, że tak zielono wygląda, nie umiałby odpowiedzieć, równie jak nie umiał odpowiedzieć staremu Wyździe, gdy się spytał, czemu przyszedł tak wczas ze swojej placówki. Nic też nie odpowiedziawszy, rzucił kosz na swoje miejsce, a sam położywszy się na posłaniu zasnął snem mocnym i długim, wzbudzając przeto niemając obawę w sercu troszczącego się o niego Wyźgi.

— Tu źle widzę z naszym Krzysztofem — rzekł Wyźga do swej Maryni — biegnij ty po pana Wróblewskiego, on spi i spi, ale mi się ten sen jego wcale nie podoba. Skocz także po Adasia, niech chłopiec przyjdzie odwiedzić ojca.

Marynia wypełniła rozkaz dziadka co do joty. Wkrótce zacny i szanowny lekarz ubogich, słusznie zapisany w księdze o pracy Smilesa, stał koło łoża Krzysztofa i trzymał go za rękę.

— Silne jakieś wrażenie — mówił kiwając głową — powaliło go. Nie budźcie go, niech spi, tyle jego szczęścia, wątpię bowiem, aby ten człowiek powrócił kiedy do zdrowia. Zalany łzami Adaś wpatrywał się z boleścią w trupio-błądą twarz ojca.

Wyźga otarł także łzy z oczu.

— Ja tu jutro przyjdę — mówił w końcu doktor — gdyby się obudził, nie zmuszajcie go do mówienia. Za napój dawajcie lekkie kwasy, i dyetę trzeba zachować — Pożegnawszy wreszcie starych biedaków wyszedł. Wyźga i Woliński czuwali przy chorym. Adaś często także zaglądał do niego. Marynia gotowała barszczyk i ziółka. Sen Krzysztofa trwał blisko 24 godzin. Zbudziwszy się, ujrzał najprzód przy sobie Adasia.

— To ty? A dobrze. Cóż ty robisz chłopcze?

— Przyszedłem tu ojca odwiedzić.

— Dziękuję ai, ale dzisiaj nie pójdę na stojkę.

— Nie potrzeba mój ojcze, ja już potrafię zapracować i na ciebie.

— Bóg ci zapłać. Ale widzisz ja dla tego nie pójdę, bo dziś święto u mnie wielkie. Dziś rocznica śmierci mojej matki. Ona mi się co rok ukazuje we śnie. Ach jakże dziś rozkosznie spałem. Widziałem ją. Miała w ręku gałązkę oliwną. Cała była w bieli. Zwiastowała mi wiosnę i wierzę już teraz jej słowom. Ja ją tylko widziałem we śnie. Ty

synu ujrysz ją na jawie, gotuj się do tej uroczystości. Ja widziałem ją dziś, matkę moję... rozumiesz matkę moję i twoję... bez której my sierotami tak długo. Módl się do niej. Ja jej ciebie poleciłem mój synu! Wierz jej, ona miłością najwyższą, najczystsza.

Adaś słuchając tych słów płakał.

— Nie płacz synu, nie płacz. Część naszej sierocej rodziny podjęliśmy na siebie jarzmo piekielnych mąk na ziemi... Kto wytrwał nie szemrając, zasłużył sobie na łaskę taką, jakiej ja dziś doznałem. Kto przecierpiał wszystko, co tu w człowieka ugodzić może, ten wyanielony duchem sięgnął po nad ziemię. Komu ludzie wtłoczyli na kark jarzmo najwyższej niedoli, jaką jest: wygnanie, tułactwo, niewola w własnym domu, przemieszczenie najświętszych uczuć, ten w zasłudze swych cierpień staje się godnym wielkiej łaski, która mu otwiera oczy w przyszłość, w tajniki narodowych dziejów. Uważaj Adasiu. Ja ci powiadam dziś, że ty ujrysz na jawie matkę naszą z różeczką oliwną zwycięstwa, tak jak ja ją dzisiaj widziałem we śnie. I wy starzy bracia ciescie się i wiercie w to, w co ja wierzę. Wy może nie doczekacie tej uroczystości, jaką ja wymodliłem u Boga dla mego dziecka, ale wiercie mi, że ona zgotowana już jest dla naszych dzieci, za cierpienia ich rodziców-tułaczy.

Wyżga i Waliński westchnęli na te słowa głęboko. Nie dziwili się oni bynajmniej słowom Krzysztofa, które trochę nie zwykle brzmiały, boć wiedzieli przecie, że to nie prostak, i że przeszedł różne koleje w swym życiu. Uniesienie jednak jego i zapał, z jakim je wygłaszał, przypisywali chorobliwemu stanowi jego duszy.

— Ale pamiętaj chłopcze — mówił znowu dalej Krzysztof — kiedykolwiek, gdziekolwiek na cię padnie, że ci Bóg powierzy w ręce służbę dla sprawy ogółu, najprzód święcie baczyć na swoje sumienie, a potem na węzły rodzinne. Nie targaj ich, choćby ci przyszło karkiem nadłożyć. Rodzina u nas rzecz święta. Na jej zasadzie dźwignie się naród, który także wtedy będzie jedną wielką rodziną. Nie rozrywaj jej węzłów świętych, bo przekleństwo na tym, który się zmaszał krwią brata.

Wypowiedziawszy te słowa osłabł. Obecni przybliżyli się do jego łoża i spostrzegli, że zasnął znowu. Króciej jednak trwał ten sen jego drugi. Zbudził się za parę godzin, ale teraz był w zupełnie innym usposobieniu.

— Słabo mi — rzekł do Wyżgi — trzeba by się czem posilić—podano mu posiłek. Wypił, a potem krótkimi już tylko słowy odpowiadał na zadawane pytania. Lekarz znalazł stan jego zdrowia bardzo niebezpiecznym.

— Nie na długo wystarczą te siły—mówił do Wyżgi— I jabym radził, abyście go odesłali do szpitala, gdzie będzie miał ciągłą opiekę i roztropny dozór, jemu potrzeba spokoju. Być może, Bóg to jednak wie, że się może i wygrzebie z tej niemocy. Moja rada, odwieźć go do szpitalu.

Rady lekarza usłuchano. Gdy bowiem napady snu minęły, okazało się tak wielkie osłabienie, że chory ani się podnieść nie mógł na łożku. Pocziwy Wyżga byłby z chęcią nie pozwolił na wywiezienie Krzysztofa do szpitalu i wszystko co miał, byłby poświęcił na ratunek przyjaciela, ale kiedy spostrzegł, że toby nie na długo wystarczyło, a szpital pod troskliwą opieką Sióstr Miłosierdzia zostający, o wszystko dbał starannie i uczciwie, czego tylko chorym było potrzeba, napelniał go jeszcze nadzieją przywrócenia zdrowia pocziwemu człowiekowi. Skłonił się do rady pana Wróblewskiego i odwiózł za parę dni Krzysztofa do Świętego Łazarza. Krzysztof bardzo mało zdradzał obawy o siebie, a nawet świadomości o swym stanie. Na wszystko przystawał, niczemu się nie sprzeciwiał, wszystko było mu obojętnem. W szpitalu odwiedzali go wszyscy znajomi. Przez parę dni tylko nic mu się nie polepszało, ale też ani znacznie się nie pogorszało.

Angielka powróciwszy na wieś z najśłodszym uśmiechem powitała pana Franciszka. Przebiegła ta kobieta zmiarkowawszy, że pierwszym swoim projektem nie zbyt korzystne wywarła na nim wrażenie, postanowiła złe naprawić i zmienić politykę zaczepną.

— Jakże się tu masz, mój przyjacielu — rzekła mu na powitanie, wyciągając rączkę swoją maleńką do niego — Przyznam ci się, że drugi raz już bez ciebie nie puszcze się w żadną podróż. Nie uwierzysz, jak mi było boleśnie i tęskno.

— Dziękuję za serdeczne słowo — odrzekł wprowadzając ją pod rękę do pokoju.

— Jeszcze przy tem wszystkim widzenie się z tym biednym człowiekiem...

— Widziałas się z nim?

— Widziałam drogi Franciszku, i przyznam ci się szczerze, że tutaj gorącą wniosę za nim instancję.

— A to dlaczego?

— Posłuchaj. Ja wiem dobrze, że jestem najważniejszą przyczyną jego nieszczęścia. Straszne mi wyrzuty robi sumienie. I nie chwając się, przyznam ci się, że byłem w Krakowie u spowiedzi. Ale mój drogi Franciszku, przystąp i ty razem ze mną do wspólnej pokuty, przyznaj się i ty także potroszę do winy, i połączonemi siłami ratujmy tego człowieka.

— Czy chory? — spytał się Franciszek zdziwiony rzewnem uczuciem Maryi, z jakim wymawiała te pełne chrześcijańskiej miłości słowa.

— Bardzo cierpi. Jego umysł znękanym utracił nawet pamięć swego nieszczęścia. Franciszku, Franciszku, my go musimy ratować.

— To mi się bardziej podoba, niż to, coś dawniej mówiła.

— Bóg mi już przebaczył tamtą myśl, podszeptaną przez piekło i samolubną miłość ku tobie.

— Chętnie, chętnie uczynię wszystko, czego tylko będzie potrzeba i co ty każesz, moja duszko.

Po tej wstępnej rozmowie nastąpiło opowiadanie Maryi, opisujące nadzwyczaj zręcznie ułożoną powieść o widzeniu się jej z Krzysztofem, o jego cierpieniach i o jej łzach nawrócenia i pokuty. Pan Franciszek, jakkolwiek niezupełnie wierzył całemu temu opisowi, był jednak mocno wzruszony i z wielkim zapałem dziękował poczciwej kobiecie za takie szlachetne uczucia, obudzone w jej dobrem sercu. W rozczuleniu najwyższym obsypał ją najgorętszymi całusami i zapewnił, że teraz czuje się najszcześniejszym

zaręczył mi, (to było podkreślone), że przy troskliwym pielęgnowaniu stary za parę tygodni może wrócić do zdrowia, lubo zupełnej przytomności umysłu nie odzyska.“

Pan Franciszek otrzymał wiadomość od p. Fabrycego, że chory Krzysztof bardzo jest niebezpiecznym, a dzieląc się nią z Maryą widział, odchodząc do swego gabinetu, szczerze łzy żalu i boleści.

— To mi kobieta! — szepnął sobie — ale w tej chwili przypomniał sobie przedostatnią jej radę, od której dziwnym zbiegiem okoliczności jakoś już na seryo swemu aniołowi nie dowierzał.



R A T U S Z W A R S Z A W S K I.

człowiekiem na świecie, i wyznał, że jest zupełnie jej świętością oczarowany.

Tego pragnęła Marya. Jej interesem było zburzyć wszelkie podejrzenie nawet wobec pana Franciszka o jakimbyś nieczystym zamiarze względem męża. Czemuż jednak otrzymawszy w parę dni po swym powrocie na wieś tajemniczy bilecik od Fabrycego, ukryty w przesłanej jej książce do modlenia, i odczytawszy go parę razy, wyrzekła do siebie: Trudno! trzeba działać... Rzec się może przewlec za długo?... Czemu pytamy się, tak powiedziała do siebie? Oto zapewne dlatego, że w bileciku Fabrycego były te słowa na końcu: „Ordynujący lekarz w szpitalu

— Panie! Panie! — zawołał pukając do jego drzwi młody Janek, ulubiony jego lokaik — mam coś ważnego powiedzieć.

— Cóż takiego? — mówił już kładąc się na spoczynek bogacz. — Wejdz.

— Proszę pana: oto nasza pani — paplał z nieśmiałością chłopak — dziś w ogrodzie zostawiła książkę, którą znalazłem.

— No to i coś wielkiego, odnieś jej i kwita.

— Ale ba, to proszę wielmożnego pana dziwna książka.

— Pokaż.

Janek pokazał książkę. Pan Franciszek z ciekawością

otworzył jej okładki, i znalazł tytuł następujący: Najszybsze środki przeciw długiemu życiu. Książka ta była pisana ślicznem kaligraficznem pismem.

— Dobrze, dobrze, to ja pokazałem pani dzisiaj rano. Szczególna książka, znalazłem ją między szpargałami w bibliotece. Idź spać, niepotrzebnie się bałeś.

Janek odszedł.

Pan Franciszek oglądając książkę spostrzegł, że jedna stronnica w niej była zagięta. Na stronnicy tej był rozdział z napisem: Otrucie w odwiedzinach.

— Potwór! — wyrzekł pan Franciszek, i zadzwoniwszy na starego Filipa, kazał mu nocować przy sobie. Jak noc przepędził, każdy odgadnie zapewne.

VIII.

Maż i żona.

Nic pan Franciszek nie powiedział Maryi ani nazajutrz ani potem o owej znalezionej książce w ogrodzie. Ze jednak został przez to wydarzenie stanowczo odczarowanym, tego zapewne domyśli się każdy. Panując atoli nad sobą, nawet zmiany swych uczuć nie zdradził, jak gdyby czekając dalszego rozwoju sprawy. Marya nie obawiała się też wcale pana Franciszka, lubo wiele ją to kosztowało, że się nie mogła go zapytać, czy nie widział przypadkiem książki, którą tak niebacznie pozostawiła w ogrodzie. Lecz jakikolwiek miała ułożony plan dalszego postępowania, trwale około niego pracowała. Częste listy nadchodzące różnemi tajemniczemi drogami z Krakowa zdawały się zostawać w związku z jakąś intrygą, która była napiętą i nawet naprężoną mocno. Pan Franciszek, jak gdyby się niczego nie domyślał, przychodził tylko za każdą razą pocieszać Maryę, skoro tylko otrzymał z Krakowa list z pomyślną nowiną o powracającym choć zwolna do zdrowia Krzysztofie. Odbierając zaś zawsze wtedy wyrazy najszczerzego zadowolenia i radości niekłamanej, nieraz się nawet zastanawiał nad dziwną niezgodą charakteru tej kobiety, tu tak dobrej i tak szlachetnej, tam tak okrutnej i tyrańskiej. Pewnego jednak razu Marya znowu go w straszne naprowadziła podejrzenia. Było to w trzy tygodnie po jej powrocie z Krakowa. Zajrzyjmy wprzód do jej boduaru, zanim opiszemy samo zdarzenie. Widzimy tam pośród sybarystowskich wygod i aspazyjnych rozkoszy Maryę w rannym negliżu siedzącą przy oknie, rumianym blaskiem wschodzącego słońca oświeconą, zadumaną, rzewną, smętną, rzekłbyś uroczą. Piękne oczy podniosła ku niebu, goniąc niemi prześliczne złote i pozłacane chmurki uciekające przed słońcem, jedną ręką podparła głowę oplecioną leniwie wijącemi się kędziory krucznych włosów, a drugą puściła bezwładnie po fałdach rannego płaszcza, drapującego się na niej w greckie linie... O czemże дума?

Oto miała dziwny sen tej nocy. Po raz pierwszy po

rozłączeniu się z mężem śniło się jej rodzime miasto Manchester. Widziała i ten kącik ojczysty, w którym dziewczynką biegała koło ojcowskiego gospodarstwa, widziała i starego ojca w zatłuszczonej bluzie powracającego z warsztatu, i matkę swoją, ubogą, pracowitą i pobożną kwakierkę, która ją do modlitwy i do postów naganiała, i ukazał się jej nareszcie Krzysztof taki, jakim był, kiedy łamaną angielszczyzną powiedział jej, że ją kocha, i kiedy ona płakała dowiedziawszy się, że jest synem takiej ojczyzny, która od wieku jęczy w niewoli i nie może zebrać swojej dziatwy rozrzuconej w tułactwie po całym świecie. I zapłakała we śnie. A obudziwszy się na miękkiej pościeli, i przypomniawszy sobie, że tam może jej rodzice nie doznają takich wygod jak ona, i spostrzegłszy się, że dzisiaj już nawet bez myłki owej modlitwy powtórzyć nie może, której ją matka uczyła, zapłakała po raz drugi na jawie, i zerwawszy się czempredziej usiadła oto przy oknie w tej pozycyi, w jakiejśmy ją widzieli, i dziwne mary senne przywołując sobie na pamięć дума nad niemi, przerywając dumanie nie jednym z serca pochodzącym westchnieniem.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się naraz szyderczo sama ze siebie i ze swojej tkliwości. — Wybornie! Treny jakieś odzywają mi się w duszy. Ha, jak ja śmiesznie musiałam wyglądać zapłakana! A moja nędza, moje tułactwo, czy to także ma być dla ich ojczyzny. Doskonale. Z głodu może trzeba mi było umrzeć lub zanurzyć się w błocie dla kawałka chleba. Pfe! Maryo! Dziecko z ciebie ze wszystkimi temi czułośćkami. Zostaw te piękne dumy rozkochanym paniątkom księżycowym. Przy zdrowem świetle słońca gasną chorobliwe marzenia. Ha, ha, ha! Jakże ja śmieszna byłam przez chwilę.—I zagłuszając się podobnemi wykrzyknikami wyprostowała się z całą energią do dzieła, i zebrawszy się prędko, pospieszyła widzieć się z panem Franciszkiem.

— Nie spodziewasz się zapewne próby, jaką ci dziś przedłożę.

— Z góry wiesz, że się niczemu nie sprzeciwię.

— Chcę jechać do męża.

— Bardzo dobrze.

— Miałam bardzo dziwny sen, który mię niepokoi.

— Każę zaprządz.

— Ale nie gniewasz się na mnie?

— Bynajmniej!

Zaprzągnięto; i Marya po wcale nie zbyt serdecznem pożegnaniu z panem Franciszkiem pojechała do Krakowa. W rozstaniu tem jednak pan Franciszek najmniejszym wyrazem twarzy nie zdradził swego podejrzenia. Marya przyjechała nad wieczorem do Krakowa. Stała w kamienicy Franciszka jak zwykle, i tegoż samego wieczora widziała się z Fabrycym. Dowiedziała się od niego o Krzysztofie, że wprawdzie nie przychodzi jeszcze do zdrowia, ale miewa tylko czasami chwile przytomności, i ciągle jeszcze jest

niebezpiecznym. Rozmowa Maryi z Fabrycym trwała długo w noc, a po skończonej konferencji Fabrycy powróciwszy do siebie pisał jeszcze coś dosyć długo, i niektórzy z jego domowników utrzymują, że pieczętował jakieś listy, które rano o świcie wyekspedyował przez swoich umyślnych posłańców.

Nazajutrz Marya czarno ubrana zajechała przed szpital Świętego Łazarza na Wesołej. Puszczono ją natychmiast. Była blada i każdy na twarzy jej wyczytać mógł dużo cierpienia i bólesci. Siostra Miłosierdzia, mająca opiekę i dozór na sali, w której znajdował się Krzysztof, wyszła do niej, aby ją uprzedzić na korytarzu o stanie swego pacyenta.

— Właśnie dziś rano zażądał księdza; prosił aby go przyprowadzono w południe, bo rano się chce przygotować. Pani będzie mogła jednak z nim pomówić.

— Bardzo wdzięczna jestem za każde dobre słowo o nim. Dziwne to nasze koleje, a to bardzo nieszczęśliwy człowiek.

— O! to prawda. On bardzo nieszczęśliwy. Nie wiem tylko, czy pani trafi na chwilę jego przytomności. Od dwóch dni częściej jest bezprzytomnym.—To mówiąc weszli do sali. Siostra wskazała Maryi łożo, na którym leżał wybladły, wynędzniały Krzysztof z rękami na krzyż złożonemi na piersiach. Siostra odeszła. Marya zbliżyła się z wolna do chorego.

— Krzysztofie! — szepnęła łagodnym głosem.

— To ty Maryo! — odrzekł zwracając oczy ku niej. W oczach tych były łzy świeżego płaczu.— A to szczęście. Właśnie chciałem się z tobą widzieć.

Maryą się zmieszała.

— Cierpisz bardzo?

— Ty wiesz, żem przecierpiał więcej — mówił słabym ledwie dosłyszczanym głosem. — Ale nie mówmy o tem, ja dziś pragnęłam się z tobą widzieć, aby się pojednać z tobą i przebaczyć ci... wszystko.

— Pocziwy Krzysztofie. Ja błagam cię o przebaczenie. Pozwól mi przycisnąć naszego syna do serca.

— O nim nic. Jego zostaw Bogu i ojczyźnie. Jeżeli mię Bóg przywróci do zdrowia, co jak myślę nastąpi po dzisiejszej spowiedzi, ja go wyprawię w świat i przygotowuje do życia. Twoją pokutą będzie, że jego widzieć nie będziesz, chyba wtedy, gdy już będzie zapożno.

Maryą zasłaniała sobie oczy chustką.

— Ty płaczesz. Trudno. Taka wola boża. Ale się zmęczył, słabo mi... Podaj mi tę szklanę z wodą.

Maryą powstała ze stołka, na którym siedziała przy łożku, i zbliżając się do stoliczka, na którym stały napoje i lekarstwa Krzysztofa, wydobyła jakiś mały flakonik z rękawka i szybko wlała do szklanki. Potem podała ją Krzysztofowi. Krzysztof żyłastą rękę wyciągnął z pod kołdry po wodę, ale wtedy Angielka szybko wyrwała mu z

ręk szklanę, wylała z niej wodę do stojącej w pobliżu miednicy, i słabnąc prawie z dreszczu, który nią zatrzęsł, ledwie zdołała wymówić: to brzydka woda, czekaj, przyniosę ci innej.

— Ale mi słabo — wołał Krzysztof.

— Zaraz, zaraz — to mówiąc upuściła szklanę na podłogę i roztluczone szkło rozprysło w kawałki. Na ten odgłos nadbiegła Siostra Miłosierdzia. Podała czempredziej w drugiej szklance wodę, i scena ta na pozór wielkiego podejrzenia przeminęła bez większej uwagi. Na sali, na której leżał Krzysztof, właśnie wtedy chorych nie było, wszyscy prawie byli rekonwalescentami, i wychodzili o tej porze na przechadzkę.

— Bóg ci zapłać — rzekł wtedy do Maryi Krzysztof, kiedy znowu byli sami — przypominam sobie chwilę, w której ci moję miłość przysięgałem. Tyś sobie ją także przypomnieć musiała. Bywaj zdrowa.— Rzekłszy to znowu wpadł w odrętwienie. Marya szczerze zapłakawszy po nim po raz pierwszy, napróżno przemawiała do niego, nie nie odpowiadał. Nadeszła Siostra Miłosierdzia i oświadczyła, że to jest stan, w którym po parę godzin przebywa chory. Osłabiona i chwiejąca się Marya opuściła szpital, zostawiwszy zegarek ze złotym łańcuszkiem na wsparcie szpitalu ubogich. Przyjechawszy do domu nie mogła się jakoś uspokoić. Jakieś wyrzuty dręczyły jej serce, i jakaś trwoga usiadła w jej duszy. Wezwaniu na obiad odmówiła i nie przyjęła nawet wizyty Fabrycego. Co się w jej duszy działo, nie łatwo opisać; pozostawiamy przeto tajemniczy ten obraz czułemu sercu czytelnika. Widzimy tylko, że na najgłębszem dnie serca tej kobiety, upadłej zaprawdę nisko i bardzo nisko, pozostał jeszcze maleńki przynajmniej szczątek klejnoty, który zapewne był tam posiany ręką pocziwej matki, tej najpotężniejszej opieki człowieka w najgorszych chwilach jego życia, tego anioła na ziemi, którego nigdy za wiele nie nauczymy się czczyć i kochać.

W samotności i zadumie przepędziwszy parę godzin, nie chcąc się z nikim widzieć i nie dając stanowczych rozkazów co do powrotu na wieś, otrzymała o godzinie pierwszej z południa wiadomość, że Krzysztof Maliński opatrzony świętymi sakramentami umarł śmiercią przytomną i spokojną, błogosławiąc jedynemu swemu dziecku i nieobecnej jego matce.

Gdy odszedł lokaj, który jej tę wiadomość przyniósł, podaną przez Siostrę Miłosierdzia umyślnie przybyłą ze szpitalu, Marya zakrywszy sobie twarz rękoma obiema zawołała sama do siebie:

— Boże! jam nie winna tej śmierci. Potem chwileczkę podumawszy kazała zaprzęgać. Zaprzężono, pojechała. Na wsi jednakże czekała ją niespodzianka. Dowiedziała się bowiem u wjazdu, że pan Franciszek jest w Krakowie wraz z Dolkiem, i że do niej pozostawił list. Z piorunu

szybkością pobiegła do siebie. Rozerwała pieczętkę i czytała z wzrastającą gorączką następujące słowa:

„Pani!

Domyślasz się, żeśmy się nie powinni już więcej widzieć ze sobą. Ja w tej chwili sprzedałem moją wieś, w której się pani znajdujesz, a sprzedawszy także dom w Krakowie, rzucam się w świat z moim biednym synem. Pani zabierz swoje klejnoty i szkatułkę, która jest mojem pożegnaniem. Boję się, abyś pani zbyt zrecznie nie zastósowała i do mnie przepisów książki zagubionej w ogrodzie. Żegnam“.

Bładość twarzy Maryi przemieniła się w żółtość wosku i zieloność grynspanu. Słowa zamaryły jej na zsiniałych wargach. Prócz gniewu i wściekłości czuła jeszcze najwściekleszy żal w swem sercu za niesprawiedliwość. Ona była niewinną.

Potem rozsądkiem i rachubą się kierując, opuściła dwór pana Krzysztofa spokojnie, nie mówiąc z nikim ani słowa.

IX.

Zakończenie.

Było to w roku 1862. Któż tego roku nie pamięta, któż nie osnuł na cyfrze jego tajemniczej najpiękniejszych nadziei i uroczych marzeń pomyślniej i pożądanej przyszłości? Mało takich, którzyby przynajmniej na dni kilka nie dali się porwać tej złocistej nadziei, jaka wtedy miliony unosiła w rajskie krainy ułudy! Wszystko bo przecież zdawało się wtórować tej nucie odrodzenia, jaką zagrano na strunach narodowych uczuć. Wszystko niby sprzyjało. Był i naród cały, jednolity, zbratany, bez różnicy wyznań i stanów, wszyscy równi, wszyscy razem, a toć to przecież wyczekiwana przez ludzkość chwila, wyczekiwana przez wieki. Modliły się o nią ludy modlitwą księdza Marka i krwią przelaną w imię Maryi-królowej. Były i sojusze potężnych narodów, i wiara w Bóg wie jakie opieki, więc któżby nie wierzył w pomyślność takiej sprawy, tak upragnioną, a na takich opartą podstawach niezłomnych! A jednak, jednak wszystko to potem zawiodło. Co miało ocalić, zgubiło. Jednolita całość narodu rozpadła się w tysiączne obrazy widoków i rachub, które wreszcie nie zawahały się zafrymarzyć losem ogółu, narodu, ojczyzny, niby własną stawką na loteryę. Tysiące zjawiało się przeszkód, o których przedtem nikt nie zamarzył, i złoty kwiat nadziei zwiędł przed czasem, nie wskrzeszony do życia ani strumieniami łez podlewającej go rozpacz, ani morzem krwi poświęcenia za jego życie.

Gorzkie i bolesne to wspomnienia.

Zwrócić się jednak musimy na chwilę do nich, aby dołożyć ostatni rys do obrazu, któryśmy przed okiem widza w niniejszej powiastce naszkicowali.

Drogą, przez Kleparz od rogatki warszawskiej prowadzącą, jechał wózek dwoma końmi zaprzężony. Powoził nim wieśniak z okolic Krakowa; na wózku leżał młody człowiek, mocno widać cierpiący, bo żadnym ruchem nie dawał znaków życia, i wiozący go powstrzymywał nie zbyt rącznie swoje szkapki. W bramie Floryańskiej przechodziła koło jadących para osób, która w owym pamiętnym roku 1862 powszechną w Krakowie zwracała na się uwagę. Był to starzec z siwą, na pierś spadającą brodą, i stateczna, nader przyjemnych rysów matrona, prowadząca go jak ojca pod rękę. Gdy ujrzeli nadjeżdżających, starzec zatrzymał się i skinął na woźnicę laską podniesioną do góry, chcąc doń przemówić. Chłopak stanął tuż za bramą na ulicy Floryańskiej.

— A zkąd to, mój gospodarzu — przemówił łagodnym głosem starzec.

— Z Miechowa, wielmożny panie, wiozę rannego i spieszno mi z nim do szpitalu, bo biedaczek ciężko poraniony.

— A to zawieź go do mnie, tam ich już jest trzech, mają lekarza i należyta wygodę.

— A gdzież to, proszę jegomości.

— Na Świętego Jana ulicy naprzeciw pałacu księcia*.

— Tam, to już wiem, przecieżem tam wozził już jednego.

— Ano, to dobrze. Jedź, jeno prędko.

— Wio! — zawołał woźnica i pojechał.

Starzec z kobietą zwrócili także kroki do domu.

— Cóż nie dobrze, żeśmy tu przyjechali? — mówiła ona.

— Bóg ci zapłać moja opiekunko, wróciłaś mi spokój i życie na ostatnie dni mego nieszczęśliwego żywota.

— I on nam przebaczy?

— Mam nadzieję.

— Przecież i umierał bez przekleństwa.

— Oj Boże, Boże! Te wspomnienia.

— Ale Bóg widać przyjął naszą pokutę, skoro nam tyle szczęścia zgotował jeszcze, że tu jesteśmy, że możemy naszym nieszczęśliwym braciom podać rękę bratnią, i pomodlić się na jego grobie. Jednego tylko jeszcze pragnę.

— Adasia?

— O! tak, jegobym chciała ujrzeć i pobłogosławić i odebrać przebaczenie.

— Miej nadzieję w Bogu, może i to ci będzie danem.

Tak rozmawiając dochodzili powolnym krokiem do domu, bo starzec mocno się już chwiały na nogach.

Nie potrzebujemy zapewne objaśniać czytelnika, że starcem owym i prowadzącą go matroną, to dobrze nam znane postacie z toku naszego opowiadania, pan Franciszek i Marya. Zkąd się jednak tu wzięli tak razem i zkąd takie zmiany w ich usposobieniu, to winniśmy choć pokrótce wytłumaczyć.

Pan Franciszek zabrawszy ze sobą Dolka, opuścił jak wiadomo Kraków z powodu wykrytej mu przez Fabry-

cego tajemnicy o zamiarze otrucia Krzysztofa przez Maryę. W krótkim jednakże czasie dowiedział się o swej niesprawiedliwości. Usłużny każdemu, od kogo tylko więcej się mógł spodziewać Fabrycy, wydał rzecz całą w ten sposób, iż głównym czynnikiem zbrodni był znany nam także z dawna pan Napoleon. On to dał książkę ową Maryi, on namówił ją do łatwego pozbycia się przeszkody do ślubu z Franciszkiem, on wreszcie kusił ją do ostatka, aby w przedsięwziętym zamiarze wytrwała. Pan Fabrycy po zniknięciu Maryi mając na widoku trochę zysku, zażądał urzędowej obdukcji zmarłego Krzysztofa, na której niestety mimo najściślejszych badań pokazało się, że umarły nie był wcale otruty, ale zmarł naturalną śmiercią na wycieńczenie sił i mózgowie napady. Zawiedziony więc w swoich rachubach postarał się o zakumunikowanie swych wiadomości panu Franciszkowi, o którego pobycie przecież się w końcu dowiedział. Pan Franciszek odebrawszy listy od Fabrycego mocno był niemi dotknięty. Zmartwienie jego doszło nawet do takiego stopnia, że polecił panu Fabrycemu dowiedzieć się, gdzie jest Marya. Gorliwe poszukiwania adwokata uwieńczone zostały skutkiem. Pokazało się, że Marya jest w Manchester i pielęgnuje z czułą miłością dobrej córki swoją wdowę matkę. Dowody były autentyczne, serce pana Franciszka uderzyło współczuciem ku nieszczęśliwej. Odbywszy jeszcze smutny akt w Dreźnie, gdzie przebywał, tj. pogrzebawszy syna Adolfa, i nagrodziwszy hojnie Fabrycego wybrał się do Anglii. Za nim jednak ukazał się oczom swej ulubionej postanowił zasłużyć się w jej sercu naprawą swoich błędów. Jako wychodźca i do tego majątny, założył stowarzyszenie braci tułaczów, mających na celu opiekę nad ubogimi Polakami i biedniejszymi jeszcze po nich pozostałymi wdowami. Stowarzyszenie to nosiło nazwę Malińskiego. Pan Franciszek poświęcił dla niego 10.000 złr. Wkrótce więc weszło w życie, a między pierwszymi, którzy z jego dobrodziejstwa korzystali, była Marya, wdowa po wychodźcy Krzysztofie.

— Pani się nazywasz Malińska — rzekł wchodzący do ubogiego jej mieszkanią młody człowiek. — Jesteś wdową po Krzysztofie, który umarł w Krakowie, ale był tułaczem lat kilkanaście.

— Tak jest — odrzekła zdziwiona Marya, zakłopotana przyjęciem jakiegoś dostojnego pana w liłej izdebce, a zdziwiona jeszcze bardziej znajomością prawdziwego nazwiska jej męża i jego biografii.

— Pani z pracy rąk utrzymujesz swoją matkę?

— Tak jest — rzekła zapłoniona.

— A więc raczy pani przyjąć tu te 50 funtów szterlingów, które pani nadsyła nasze stowarzyszenie tułaczy.

— Jakto?

— Znanem pani jest to stowarzyszenie od pół roku tutaj zawiązane.

— Nie! wcale o niem nie słyszałam.

— Jestem od niego tu wysłany i proszę panią o zakwitowanie.

— Ależ — cichym głosem wyszeptała nieśmiało Marya — ja może na to nie zasłużyłam.

— To nie do mnie należy.

Z westchnieniem głębokiem wzięła za pióro podane i podpisała na przygotowanym kwicie swoje nazwisko.

Nieznamy pożegnał ją.

— O Boże! jaki ty wielki, wspaniały i pobłażający — rzekła, gdy odszedł obcy, i spiesznie pobiegła do matki oznajmić jej to niespodziewane szczęście.

— Ja słyszałam już o tem, moje dziecię, ale obawiałem się w twojem imieniu starać się u nich o to, wiedząc żeś naprawdę nie zasłużyła tego, zwłaszcza że nazwisko samo tego stowarzyszenia...

— Jakież nazwisko?

— A, Maliński, moje dziecię; to ci nie powiedziano tego?

— Jakto? Onby tu był?

— Jest, jest; to brat twego Krzysztofa, słyszę o nim wiele dobrego. Bardzo tu sobie szlachetnie postępuje, to stowarzyszenie własnym założył majątkiem; słyszę, że je niektórzy zowią: pokutą braterską.

— Matko! matko! co ja słyszę za cuda!

Więszych jednak doznała cudów, kiedy w parę tygodni potem pan Franciszek sam osobiście zgłosił się do niej, wszystko jek najszczerzej i najserdeczniej przebaczył, i wypowiedziawszy najpiękniejsze pochwały, jakimi teraz Maryę obsypywał głos ogółu, prosił ją o rękę. Ile radości, ile tam szczęścia było, każdy odgadnie.

Czas pokuty poszedł w zapomnienie, nastaly chwile szczęścia prawdziwego, długie, stałe. Wzajemna spowiedź najskrytszych tajników serca otworzyła im drogę do tego nowego życia, które odtąd wypełniały najszlachetniejsze uczynki miłosierdzia dle biednych. Pan Maliński zasłynął na wychodźtwie z swoich cnót obywatelskich, a ktoby go znał dawniej w Krakowie i widział teraz zstępującego do najnędzniejszej lepianki z pomocą i opieką, nie uwierzyłby pewnie, że to jeden i ten sam człowiek. Tak to szczerą pokutą umie zręcznie przerabiać nawet zbrodniarzy w ludzi zacnych.

Dzieje pobytu państwa Malińskich w Anglii składają się prawie wyłącznie z szeregu samych szlachetnych uczynków dla współbraci-wygnañców, którzy i dziś czerpiąc z założonego przez nich stowarzyszenia, chociaż skromne zasiłki, z uwielbieniem ich nazwisko wspominają. Gdy rok 1862 nadszedł, a Marya utraciwszy już i matkę całym sercem za drugą swoją ojczyznę tęskniąca, gorącą objawiła myśl mężowi, aby wracali do Krakowa, ucieszony tą myślą pan Franciszek, wyglądający nadzwyczaj staro (jakeśmy go na początku tego rozdziału widzieli), zawołał w uniesieniu: Tego tylko czekałem! Moja Maryo! Pokuta moja i żal za krzywdę wyrządzoną bratu dotąd nie są zupełne, dopóki

nie pomodłę się nad jego grobem i nie wynajdę waszego syna!

— O dobry Franciszku!

I pojechali; wiadomo też, że pojechało z nimi mnóstwo na angielskiej ziemi tułających się wychodźców, i że koszta ich wyprawy do ojczyzny, opromienionej także nadzieją pewnej przyszłości, zaspakajała nie zamknięta nigdy dla współbraci kieszeń pana Franciszka.

Stary, z siwą brodą, lecz nader sympatycznej i pięknej starości pan Franciszek, nazwany kumotrem wychodźców z Anglii, z radością był witany w Krakowie przez tych, którzy tam wcześniej byli przybyli z Anglii. Za wzór doskonałości i szlachetności pokazywano go i zapoznawano z mieszkańcami Krakowa, którzy go zapomnieli lub nie znali. Chcąc zaś w czasie mnożących się nieszczęść i klęsk bohaterskiego powstania przyjść w pomoc nieszczęśliwym rodakom, w umyślnie na ten cel najętym obszernym pomieszkaniu urządził salę przytułku dla biednych, zgłodniałych i rannych. Wielu pamięta ten zakątek szlachetnego Anglika (tak go w Krakowie nazywano), który po sobie najpiękniejszą pozostawił pamięć.

I my też teraz zajdziemy do tego przybytku chrześcijańskiej opieki i współczucia. Przywieziony chory bardzo ciężko był ranny. Trzy kule strzaskaly mu rękę, którą lekarz postanowił amputować. Ranny nie miał przytomności, operator czekał powrotu sił i oprzytomnienia. Była to ofiara nieszczęsnego ataku na Miechów.

Kto był, z kąd rodem, nikt nie wiedział, inni ranieni znajdujący się wraz z nim na sali nie znali go wcale, a może też zmienionego poznać nie mogli.

Pan Franciszek kazał o chorym mieć jak najlepszą pieczę, na której wprawdzie żadnemu pod jego opieką zostającemu nie zbywało.

Smutny to jednak był wypadek.

Wycieńczony z ubytku krwi, mając nadto na pobojowisku źle zaopatrzone rany, nie doczekawszy się operacji ręki — umarł.

W tobołku, znajdującym się przy nim, znaleziono skromny pugilaresik, a w nim obok kilku groszy niebieski papierek, pieczęcią rządu narodowego opatrzony, zawierający nominację na porucznika za wyszczególnienie się w męstwie przy zdobyciu bagażów moskiewskich dla zgłodniałego oddziału. Kartkę oddano wraz z pugilaresem natychmiast staremu Anglikowi, bo nazwisko na niej napisane było takie same jak jego. Był to bowiem Adam Maliński, syn Krzysztofa, czeladnik szewski z Krakowa.

Zadrzały ręce pocziwemu starcowi, gdy ujrzał tak niestety zapożno upragniony kres swoich i Maryi zabiegów. Pobiegł do zwłok synowca, ze łzami w oczach i krwawo bolejącem sercem, i porwawszy jego martwą, ranami okrytą rękę, gorąco ją całował.

— Synu! synu! nie wystarczyło mi sił na zmycie całkowitego grzechu, jaki względem twego ojca popełniłem.

Wtedy nadbiegła do sali Marya.

— Maryo ukłęknij, oto syn twój Adam.

— Adam! — zakrzykła nawrócona matka, i rzuciwszy się na zwłoki syna omdlała z żalu i boleści...

Na trzeci dzień potem odbył się uroczysty pogrzeb Adama. Za trumną w grubej załobie postępowała jego bolesna matka, i tym razem ją prowadził pod ramię prowadzony zawsze przez nią Anglik.

Dalsze dzieje tych osób nie należą do naszej powieści; to tylko powiedzieć musimy, iż oboje zacni Malińscy nigdy już nie zeszli z drogi nawrócenia i pokuty, a uwielbienie i cześć ich znajomych są częścią tej nagrody, na jaką zasłużyli.

K O N I E C.

K R O N I K A.

Z kraju.

Z LWOWSKIEJ WYSTAWY OBRAZÓW.

II.

Przechodzę do szczegółów. Dla milego porządku muszę się przedewszystkiem rozprawić z utworem, który z treści swojej należy do licznych rodzajowych, z formy jednak stoi sam jeden, i kto wie, rychłomi ujrzymy podobny. Przybył ten obraz z samego początku, i zrazu jak kometa górował nad gwiazdami, pochłaniał, że tak powiem, całą wystawę. Ale nadeszły utwory Matejki, Grottgiera, Simlera — i kometa spełznął, usunął się w głąb, nęcąc jednak pewnym urokiem

do końca. Jestto właśnie Murzynowskiego z Warszawy „Pożar“. Pożar: zatem noc, u dołu tłumy zmieszane uchodzących, przybiegających, ratujących; wyżej z okien zieją płomienie, wali się dachu wiązanie, buchają wulkanem iskry, a nad tem wszystkim kłębi się miotany wiatrem dym ognisty? Nie, nie podobnego na tym obrazie. Oto pomysł całkiem prosty. Z rogu obrazu lecą iskry, w środku młoda kobieta wiejska ucieka, lewą ręką machinalnie zasłaniając się od ognia, a prawą unosząc w fartuszkę swoje mienie. Pożar niespodziany, bo z pleców, z prawego ramienia i z piersi zlatuje koszula; ucieka, może nawet zmyliła schód, bo w prawo mocno w dół przechylona; a jednak wzrok jej przykuty do łuny, nie z przerażenia, nie z samej ciekawości, bo pogodny, choć wyteżony, ale jakimś

demonicznym czarem przykuty. Pomysł głęboki, oryginalny, wszakże nie w tem cecha obrazu, nie w tem źródło wrażenia, o którym wspomniałem, ale w kolorycie. Postać kobiety, o ile obrócona do widza, cała jest w pełnem świetle, a to ku twarzy obłana blaskiem łuny, z tyłu zaś, nawet na odwrocie lewej dłoni blaskiem jakiegoś światła białego. A dwa te światła wszędzie ostro odznaczone, nigdzie prawie nie staczają walki, nigdzie się nie zlewają: podzieliły się zewnątrz kobiety. I jedynie to dwoiste światło, wybornie i śmiało rzucone i wykonane, padające na bujne kształty, plastycznie i poprawnie rysowane, (z wyjątkiem lewej ręki), staje się właściwą treścią obrazu. Piękny pomysł treści jest już tylko dodatkiem, tłem.

Prawda że nie wiemy, z jakiego źródła pada białe, jaskrawe, jakby elektryczne światło, i to właśnie w kierunku tu danym; nie rozumiemy, dlaczego prócz samej kobiety, ani luna, ani białe światło żadnego innego na jaw nie wydobywają przedmiotu z tła ciemnego; prawda, że sina, biało nakrapiana chustka na głowie kobiety, nie bardzo tu harmoniuje; prawda, że forma pochłania treść, materya ideę, barwa przedmiot ubarwiony; prawda zatem, że obraz nie jest doskonały, tylko efektowny, ale też niezawodnie wysoce efektowny, i pod tym względem niepospolitej zasługi odmówić mu niepodobna.

Krytycy, mianowicie malarze, uderzyli surowo na ten obraz, ale publiczność nie dawała się tem ocucić z wrażenia, i miała słusność. Nadeszły prawdziwie artystyczne obrazy i publiczność się opamiętała, i znowu miała słusność.

Gonili za efektem mistrze, dlaczegoż ma to być zabronione talentowi, skoro się z zadania wywiązał z powodzeniem? W kolorystyce, w układzie barw bywa czasem taka poezya, że mimo nieszczęśliwej idei, mimo nawet błędnego rysunku, całość malowidła wypada pięknie. Najnowszym tego dowodem jest Markarta „Dżuma we Florency“ czyli „Siedm grzechów głównych“, ogromne malowidło na trzech płótnach, którego z powodu zbyt tłustych ustępów nie przypuszczono na ostatnią wystawę w Paryżu, które jednak obwożono po Europie, i artysta otrzymał bardzo świetne stanowisko we Wiedniu. Architektonika tam niemożliwie idealna, światło różnorakie pada i biega brew wszelkim zasadom optyki, koloryt nawet ciał nie wszędzie naturalny, rysunek nie wszędzie poprawny, a przecież całość doborem i prowadzeniem kolorów zachwyca i rozbraja najsurowszych krytyków. Ileż to podobnych ustępów w Słowackim, gdzie idea potworna, prawda i loika zdeptane, a jednak dykcją, rytmem unoszą! Czyż nie czarowałyby dumki Zaleskiego samą wiersza spiewnością? Ileż to dzieł muzycznych upaja samą tylko cudną harmonją! Prawda, że to wszystko w gruncie jest dopiero częścią piękną prawdziwego, ale gdzie się objawia w stopniu niepospolitym, tam i mistrzostwa odmówić nie wolno. Ale niezupełnie da się to zastosować do „Pożaru“. Efekt jego za każdym przypatrzeniem się słabnieje, bo jest zbyt surowy. To dwójświatło zresztą nie jest pomysłem genialnym, bo nie nowym. Przed kilkunastu laty obwoził Tysiewicz swoją „Maryę Magdaleny“, w ten sposób dwójświatła malowaną. Murzynowski je zatem tylko skopiował, i to nie najlepiej, bo u Tysiewicza oba światła były motywowane. Efekt obrazu T. coraz więcej jednak powszedniał, nim jeszcze odkryto, że i on był naśladowcą jakiegoś dawnego malarza. Fortel

ten poszedł już w zapomnienie, i przypomina się tylko z tysięcy wiernych kopii i kolorowanych litografii „Maryi Magdaleny“. Wątpimy też, aby Murzynowski powtórzył swoją próbę. Szkoda bardzo szczęśliwego pomysłu w „Pożarze“; przy widocznym talencie autora, wykonane z naturalnością, mógłby obraz mieć nieustającą, prawdziwą wartość artystyczną. W ogóle też malarzom próby tej doradzać można chyba tylko dla ćwiczenia się w oświetlaniu ciała nagiego.

W obrazy historyczne bywają dziś ubogie nawet wystawy pierwszorzędnę. Niepochlebne to świadectwo dla dzielności ducha narodów pod względem malarskim. Czy to wina upadku społeczeństwa, czy upadku sztuki, czy rozwielmożenia się działu rodzajowego, mniejsza o to, dość że my możemy powiedzieć, iż dział histor. był na naszej wystawie wcale licznie reprezentowany i zawierał utwory niepoślednie, nawet znakomite. Prawda, że nie we Lwowie i nie w tym roku malowane, i nie tu pierwsze otrzymały oklaski. Grottger zresztą i Simmler już nie żyją, ale mamy dwa najcenniejsze ich utwory. Oby nam za to Opatrzność w najdłuższe lata zachowała Matejkę! (Słychać, że na dzień 11. sierpnia Matejko przysze do Lwowa swoje dzieło ostatnie „Unię lubelską“ kolosalnych rozmiarów). Może też Gerson otrząsie się z mistycyzmu chorego. Piękne nadzieje rokuje młody Sidorowicz, a bardzo pomyślne wróżby dochodzą z koła naszej młodzieży w Mnichowie.

W dziale historycznym mamy religijny obraz tylko jeden, i to mogący snadnie należeć do oddziału ściśle historycznego, a to Sidorowicza „Adam i Ewa nad zwłokami Abla“. Kompozycya jasna, rysunek dobry, perspektywa naturalna, sposób malowania przyjemny, ale koloryt dziwaczny. Właściwie jest na całym, średniej wielkości obrazie, kolor tylko jeden szaro-sino-zielony, bo oprócz tego świeci tylko trochę białości, i to sinawej, na ciałach rodziców i Abla i na ołtarzu, trochę na tych ciałach cienia różowego i szmat brązowej barwy na skórzanym ubiorze Adama i Ewy, nad zwłokami syna ze zgrozą nachylonych. Całość przeraża, a to tem więcej, im dłużej, im głębiej w ten las się wpatrujemy, aż w końcu odraza — i zadanie sztuki jest zmyłone. Dlaczego Abel jak na majdanie wyciągnięty? dlaczego noc? dlaczego ten odrażający koloryt? Jeżeli malarz chciał uwydatnić, iż nawet przyroda zgrozą była przejęta na czyn okropny, to jest mocno w błędzie, człowiek idzie swoim trybem, a przyroda swoim. Per licentiam poeticam mogła objawić zgrozę w chwili popełnienia morderstwa, ale nie dłużej. Maż to być oryginalnością? Ależ i oryginalność w sztuce musi się poddać prawdom piękna. Obraz zatem sam przez się nie ma wartości, ale wolimy go takim, niż gdyby był miernej wartości. Widzimy bowiem w całym obrazie fantazyę samodzielną, pasowanie się ducha silnego, ale niewyfermentowanego, z ideą i formą, a zatem jako wróżba dzielnego talentu jest dla nas obraz ten bardzo cenny. Byle się tylko artysta uparł przy tej mylnej drodze dziwactwa.

Od pierwszej zbrodni przeskoczmy pełne mordów lat tysiące, i stańmy przy Grottgera „Sybirakach“... przy Ablu-Polsce, z zawiści zabijanym przez Kaima-Moskwę, w chwili, gdy nawet podobno Bóg się nad ofiarą nachyla. Jak żołnierz rzymski, co nie opowiadał zasług swoich, ale wystarczyło, gdy odsłonił pierś bliznami posieczoną: tak dla Grottgera dostate-

cznem było zamiast płótna i farb, chwycić papier i kredę, by narodowi i światu odkryć rany Polski. Wystarczyły bawidelka konwiktowe, tak wielki przedmiot, tak genialny artysta! Rysunki Grottgera, fotografią dzisiaj już na cały świat rozszerzone, to jedyne nasze bitwy pomyślnie z lat 1861 — 65, staczące ciągle jeszcze z każdej ściany, z każdej teki, z ślepotą i niesumiennością obcych a zwątpieniem rodaków. Zdumiał się świat, że ofiara, która „już zginęła“, wydaje jeszcze dzieła nieśmiertelne! Rysunek kredowy, na papierze złotawym, formatu zwykłego rysunków podłużnych Grottgera. W głębi groźna burza sybirska, pochłaniająca cały widok tła, pędząca ptaki, lecąca ku przodowi. Na przedzie położony krzyż drewniany; jeden skazaniec polski wykończy młotkiem i dłutem trójkę w napisie krzyża: 1863; drugi skazaniec oparty ręką i siekierą o głowę krzyża, дума głęboko patrząc w tę cyfrę; trzeci skazaniec stoi, patrzy w górę, w przyszłość! Konfederatki na ziemi. Ciosałeś sam trumnę matce? Stałeś nad grobem, pochłaniającym twoje dziecię ostatnie? Czułeś przy katafalku ojca drgnienie łączności duchów, i tych co zmarli i tych co się narodzą, objawienie nieśmiertelności duszy, wieczności? Otóż wszystkie te boleści i potęgi pomnóż temi tysiącami, ile padło ofiar, temi milionami, ile serc liczy naród Polski, temi rzeszami archaniołów, co od stu lat w nasze serca i dłonie wlewają wiarę i siłę, wszystko to wyobraź sobie żywo, uczuj całą polską duszą—a obejmiesz w myśli ideę i wrażenie tego rysunku. Nie znam tak wzniesłego poematu, tak potężnej pieśni! Ani tu łyż po stratach i cierpieniach, ani tu liczenie cierpień przyszłych, ani tu klątwa dla kata, i dodam: ani na ustach: exactum est! Za zwalone w ojezyźnie kościoły oni tu stawiają na Sybirze krzyż. Smętni, bo ojezyzna smętna; dumają, bo tam pozostali jeszcze, co może więcej cierpią; patrzą w dal z powagą męczenników, bo widzą tam spełnienie!

U dołu rysunku podpis: „A. G. Pieniaki 24 lipca 1867“. Rozumiecie tę datę? To wilia wyjazdu Grottgera do Paryża na wystawę i w Pireneje po ratunek spóźniony! Ten rysunek, to pieczęć, to indeks wszystkich jego utworów, to testament Grottgera dla narodu. Kto dał rysunkowi temu nazwę: „Sybiracy?“ Tytuł jego: „Wiara polska!“

Od tego rysunku wolno już chyba tylko przejść do płótna, jaśniejszego całą świetnością kolorytu, całą potęgą techniki oryginalnej i samodzielnej kompozycji, popartych wszechstronnem studjum archeologii i historii, do Matejki „Zygmunta i Barbary“. Polak dzielny bywa, ale często traci ducha, tylko go nie opuszcza Bóg i Polka. Gdzie już rozum nie widzi oparcia, tam Polka jeszcze podaje wiarę i pieczęty. Jest to jedna z tajemnic naszej historii, nieznaną obcym narodom, które się zatem wydziwić nie mogą, iż jeszcze istniejemy. I tu bohaterką jest Barbara; przytuliła się do męża i głaszcząc dłonią wlewa otuchę w zniekanego, zwątpiałego. Charakterystyka jest po mistrzowsku oddana. Przez otwarte okno na pogodnym, ale surowem tle nieba widać kometę i gwiazdy, szeleszczą brzozy, chwieje się na wietrze lekki wodotrysk. Na ścianie wisi ukosem niby cień złowrogi Bony, jakiś obraz surowej kobiety. Akcesorja, aksamity, sofki, bukiet porzucony, stroje, pokój, wykonane po mistrzowsku. Farby nie narzucone lekkomyślnymi płatami, ale i nie spławione. Każdy pociąg pędzla, jak nadany

pierwotnie, tak snąc pozostał, energiczny, charakterystyczny, ale z pewnego odstępu zlewają się one w świetną całość, której lata nadadzą więcej miękkości.

Rozmiarami, treścią i po części wykonaniem celuje przed innemi śp. Simlera „Przysięga Jadwigi“, najsłynniejszy utwór zbyt wczesnie zgasłego artysty, który niepospolicie zwrócił uwagę na powszechnej wystawie paryskiej, sławiony we wszystkich pismach obcych i polskich. Jadwiga w koronie i królewskim płaszczu klęcząc przysięga na utrzymaną przez biskupa ewangelię, że niewinną jest zarzucanych jej z Wilhelmem Rakuzkim stosunków. Na boku Jagiełło się uśmiecha, w środku prałat wznosi dziękczynne ręce w górę, za biskupem w cieniu ścisła pięćcie oszczerca Gniewosz z Dalewic. W głębi, w pomroku katedry dwór, widać podniesione dwie szable. Całą uwagę chłonie Jadwiga, mianowicie jej twarz. Tyle boleści, niewinności, słodyczy, przebaczenia i wiary w licu spotwarzanej królowej i żony, tak te wszystkie uczucia wybitne a w jedną niewymowną świętość zlane, że ta sama jedna głowa zapewniłaby artyście nieśmiertelność. Odbywano formalne procesje do tego obrazu. Cena jego podobno 4.000 rubli. Kto go nabędzie od wdowy? Czy może jak „Litwania“ Grottgera wywiezioną będzie za granicę, na wieczną dla nas zaturę? Za lat dziesięć cena jego będzie w trójnasób większa, jak wnosimy z rezultatów licytacji, odbywanych w Wiedniu, Paryżu i Londynie. Nie znajdzież Polska dla niego salonu, sali radnej? Kto wie, czy nie zakupi go albo nie skonfiskuje Moskwa...

Niedaleko wisi obraz, którego treść niezmiernie wdzięczna, kompozycja wyborna, rysunek wzorowy, ale koloryt fatalny. Jestto Gersona z Warszawy „Król Łokietek na wygnaniu“. Król zniekanym, ubogim ubrany, śpi w górach, w lesie siedzący; dwaj żołnierze wyglądają w dal, czy nie dostrzegą wroga; lud okoliczny garnie się do ukochanego króla (był już niestety po nim tylko jeden taki!), pustelnik się uśmiecha, a kobiety i mężczyźni, przedewszystkiem kobiety, to klęczą wpatrzona w króla, to dzieci podnoszą w górę, aby go ujrzaly, to dary jak na kolędę niosą—a wszystko w milczeniu, i nakazując sobie wzajem milczenie, aby nie przerwać słodkiego snu królowi. W blaskach zórz porannych stoi cały widok, ale te blaski tak fatalne, jakby padały z lampy przez czerwone szkło. Ma to niby dodawać nastroju legendowego, a tylko czyni cały obraz niemiłym; przytem niby jakaś mgła robi wszystko niewyraźnym, i dlatego wydaje się, że artyście nie chciało się dolożyć ręki do wykończenia. Ma i Matejki obraz wadę w powietrzu, i w lewej ręce Zygmunta; u Simlera osoby nie grupują się w jedną całą scenę, trzeba je dopiero w umyśle zbierać do kupy, a powietrza brak ogromny, ale te wady nikną—podczas gdy u Gersona wada góruje, przeszkadza nawet zając się zaletami obrazu. Niewolno zewnętrznemi fortelami wpajać w widza to, co z wnętrza, z ducha, iż tak powiem, obrazu, ma wypływać i przekonywać go mimo nawet jego wiedzy. Jest jeszcze więcej obrazów historycznych, ale te dziś pomijam; dość będzie o nich wspomnieć przy końcu sprawozdania, jako o utworach niższego rzędu. Z temi tu wymienionemi utworami wyczerpane już też z małym wyjątkiem wszystko, co pozostanie w pamięci widza i w katalogu sztuki polskiej na zawsze, a przynajmniej na bardzo długo. P. K.

Nie ma dziś na ziemi polskiej serca, któreby nie uderzyło na wieść o znalezieniu zwłok Kazimierza W.; o niczem nie mówią, niczego skwapliwiej nie szukają wszyscy w dziennikach nad szczegóły o wypadku, który poruszył nawet najostylejszych. Na nieszczęście tak jak burza srożyła się w czasie otwierania tumb, spór się też zawiązał około niej. Dzieci praojcu chcą groszem wdowim zbudować grobowiec, anonim darowuje trumnę... jedni spieszą, by prędzej pogrzebać wspomnienie i zgasić ducha iskierkę, drudzyby ją rozniecić gotowi... W naszej biednej Polsce miłość nawet niedolą wielką przeradza się w waśnię. A kiedyż jeśli nie dziś przejednaćby się potrzeba i po troszę miłości własnej składając na ofiarę, miłość poczciwą ojczyzny podnieść! Smutne to ale znamionujące epokę i kraj... Z powodu grobu Kazimierza i znalezionych w nim pamiątek rodzi się wątpliwość, czy on wprzód otwierany nie był. Mówią, że za Stanisława Augusta już tam ciekawość zajrzała. To dziwna znowu, że król z tak ubogą wszedł do trumny koroną, on co królestwo tak możnem zostawił, że mu brak i onego rycerskiego pasa, z którym go zawsze rysują, i przy boku miecza, coby się też powinien znaleźć. Słowem 500letni grób ten jest dla nas zagadką, a jak straszne obudza myśli... i myśmy się tak w proch rozsypali jak to ciało, i na nas został ledwie szczątek czerniałej purpury, i my miecza u boku nie mamy. Za drugie lat pół tysiąca... a! gdyby w przyszłość spojrzeć można... Nad tę wielką nowinę nie ma w tej chwili więcej zajmującej, ani godnej, by ją przy tamtej postawić... Cisza letnia zaległa szeroko... wielki świat u wód, małe światki w polu i lasach, a fusy niezdrowej polityki odpływają powoli.

W literaturze naszej cisza także, choć książki i *in c o g n i t o* wychodzą; ale gdzie krytyka jest żadną lub niedolęzną, tam literatura musi na obojętność ogółu umierać. Książka nie ma rozgłosu, przechodzi niepostrzeżona i czeka, aż ją w kilkadziesiąt lat bibliograf wynajdzie a prawdziwy znawca oceni. Żle jest, gdy dzieło nie roznamiętnia, nie obudza, nie wywołuje choćby najostrzejszych napaści; te tylko żyją, którym szczęśliwa gwiazda dała surowych choćby sędziów albo zajadłych nieprzyjaciół. Ale u nas dziś nikomu prawie się to niedostaje w podziale. W ostatnich zeszytach przeglądu dwóch światów napotykamy jeszcze nieskończoną (myśmy przynajmniej jej nie doczytali) powieść bardzo utalentowanego autora p. Cherbuliez, której za tło służą ostatnie polskie wypadki. (Przypoda Władysława Bolskiego). Powieść ta zasługuje na wzmiankę, bo jest zastanawiającą próbą odgadnięcia charakteru polskiego i charakteru chwil dla nas samych jeszcze zagadkowych. Bolski jako typ Polaka dość szczęśliwie pochwycony, niektóre momenta jego życia są jakby z natury wzięte, prawdy wiele, przesady trochę, czasem coś przerażająco smutnego, niekiedy coś, co się mile w sercu odbija. Znać że Cherbuliez uczył się Polski, że znał Polaków, że stronę pewną ich charakteru rozumiał, że słabość i przyczynę zbadał; a jednak jak skoro z za granicy wprowadza swego bohatera do kraju, jak tylko go społeczeństwem polskim otacza, ile tu uśmiech obudzających omyłek. Ten posąg Pawła I. na rynku miasta wojewódzkiego polskiego daje wyobrażenie reszty... Jako studium charakteru pierwsze zwłaszcza części opowiadania są z niepospolitem skre-

ślone talentem. Wspomnieliśmy o powieści, gdyż w niej czasem przynajmniej sympatyczniejszy jakiś głos się dla Polski odzywa, o co dziś we wszystkich literaturach nader trudno. Księgarze nawet francuzcy wiele licząc na odbyty w Rosyi, niechętnie drukują coś o Polsce, obawiając się wstrzymania dzieła. Tłumaczenia z polskiego są prawie bezprzykładne. Za to nie zbywa na rosyjskich, między którymi powieści Turgienjewa pierwsze trzymają miejsce. Jest to znakomity talent niezaprzeczenie, ale mu pewnej broszury przebaczyć trudno.

Tłumaczom polskim możemy wskazać jako ciekawe źródło do historii Sybiru za czasów Mikołaja: Pamiętniki Decembrysty (barona Rosena), które wyszły właśnie w języku niemieckim, (aus den Memoiren eines russischen Dekabristen. Leipzig. S. Hirzel). Wiadomo, że Decembrystami zowią się ci, co w r. 1825 do grudniowego spisku należeli razem z Oboleńskim, Bestuzewem, Murawiewem, Rylejewem itp. Pamiętnik barona Rosena zawiera naprzód szczegółową wiadomość o spiskach i towarzystwach potajemnych, potem o procesie i indagacji obwinionych, o sądzie ich i spełnieniu wyroku; na ostatkach osobiste jego przygody w podróży i pobycie na Syberyi, bardzo zajmujące. Żałujemy, że zaledwie dać możemy o nich wzmiankę.

Do prac bliżej nas obchodzących należy znakomicie opracowana rozprawa, po niemiecku wydana, dr. E. Sieniawskiego o bezkrólewiu z r. 1587, epoce, o której wprzód już wydrukował dr. Caro osobną broszurę pobieżnie z przystępniejszych źródeł zaczerpniętą. Praca dr. Sieniawskiego w części polemicznej jest może najciekawszą, a ze wszech miar zajmującą. Ponieważ grzech przez dr. Caro popełniony był po niemiecku, krytyka go w tymże języku ściagać musiała... Spodziewamy się oceny bardziej wyczerpującego dzieła dr. Sieniawskiego.

Wyszedł także Wincentego Pola „Historyczny obzszar polski“, rzecz o dyalektach mowy polskiej, czytana na posiedzeniu Tow. naukowego krakowskiego, w której daje charakterystykę rozmaitych odcieniów wieloramiennej tej naszej mowy, z właściwym mu odczuciem wszystkich jej przymiotów. Wysła astronomia ludowa przez Jul. Fontanę i drugie odbicie jego dziełka o pisowni polskiej, a gotuje się o ile wiemy kilka ciekawych broszur, kilka poezji zbiorów, i snuje mnóstwo projektów wydawnictwa różnego. Między innymi ilustrowany przez Jul. Kossaka śliczny ów Rok myśliwca Wincentego Pola, który tak starą Polskę miłuje i maluje serdecznie, w nieco nowej formie i starannem wydaniu J. K. Żupańskiego. Będzie to jakby wtóry zeszyt publikacji rozpoczętych obrazem Rusi Czerwonej.

Dla bibliografów oznajmim o rozpoczętym katalogu A. Ashera z Berlina, który wystawia na sprzedaż książki o Polsce, Rusi itp. Są między nimi rzadkości, ale też jakby dla Anglików poceniane. Naprzykład Petrycego polityka sto talarów, Lutnia Apollinowa Łaz. Baranowicza (Kijów) sześćdziesiąt, pierwsza Biblia słowiańska (? 1581) czterysta, brzeska trzysta, szarfenbergerowska (1561) dwieście. Z westchnieniem myślimy kto to kupi... gdyżmy my dziś tak ubodzy, a tak obojętni. Na koniaby nikt pewno nie pożałował, za balową suknię chętnie się płaci parę tysięcy... ale za starą książkę zbutwiałą, co mówi o tej przeszłości, którejby się chciało zapomnieć!

J. I. KRASZEWSKI.

Ze świata.

(Średniowieczne sądy na zwierzęta). „Lepiej było dawniej — mawiają zwykle starzy — „i ludzie byli lepsi, niż dzisiaj, i mniej głupstwa było na świecie.“ Znalazłoby się w tem może wiele prawdy, ale też i przechwałki nie mało. Niejedno zapewne mogło być lepszem i mądrzejszem, niż dzisiaj; lecz ileż natomiast było gorszego i głupszego? I tak np. komuż dziś, mającemu pięć zdrowych zmysłów, przyszłoby na myśl, podciągać pod kodeks karny zwierzęta, wytaczać procesa sądowe ślimakom, szarańczom itp. owadom? A przecież działo się to niegdyś, i to w najoświecieńszych krajach starej Europy. Dziś ogrodnikom i gospodarzom wiejskim podaje umiejętność rozmaite środki, ochraniające ich plon od żarłoczości tych naturalnych nieprzyjaciół; w średnich zaś wiekach, gdy środki te nie były jeszcze znane, i przeto spustoszenia, zrzędzane przez owady, przybierały nieraz olbrzymie rozmiary, szukała nieudolność ludzka bardzo często pomocy u sądów; wzywano winowajcę przed trybunał i wydawano nań wyrok podług wszelkich formalności prawnych. Ale jakkolwiek dziwnym i śmiesznym wydaje nam się dziś podobny proces, nie można przecież odmawiać mu wszelkiej podstawy rozumnej; owszem rzec można, że w wiekach średnich było nawet loiczny wynik panującego wtedy pojęcia o prawie. Wówczas nie dało się pomyśleć nawet, by jakakolwiek zbrodnia lub występki mogły pozostać bez kary, i już dla samego przykładu było rzeczą konieczną, ażeby każdy czyn potępienia godny jak najsurowiej został ukarany, bez względu na to, czy winowajcą był istotą myślącą czy bezrozumną.

Dla procesów tego rodzaju istniały całkiem odrębne normy, które w ówczesnym świecie prawniczym bywały często przedmiotem osobnych studyów, i o których mianowicie juryści francuzcy pisywali nieraz bardzo uczone dzieła. Procedura była rozmaita wedle rodzaju oskarzonego zwierzęcia. Jeżeli zbrodniarz zwierzęcy mógł być pojmany, natenczas musiał stawać osobiście przed zwyczajnym sądem kryminalnym. Jeżeli zaś chodziło o zwierzęta, których nie można było pojmać, ani też nie posiadano żadnego środka na to, ażeby je uczynić nieszkodliwymi, jak np. ślimaki, gąsienice, chrabąszcze itp., natenczas wzywano je przed sąd duchowny, tj. tę władzę, którą uważano jako jedynie zdolną do tego, by sprowadzić na zbrodniarzwów karę nieba i wystawić ich na zemstę Boga. W tym ostatnim wypadku toczyła się sprawa, jak w rzeczywistym procesie. Mieszkańcy spustoszonego pola lub okolicy występowali jako oskarżyciele, a owady musiały się bronić. Jak najściślej przestrzegano wszelkich formalności prawnych, i po wysłuchaniu obydwóch stron wydawał duchowny sędzia wyrok. Wypadał on zwyczajnie w formie kłatwy i wypędzenia złego ducha. Winowajcy otrzymywali rozkaz, ażeby opuścili kraj, spustoszony przez nich, i przenieśli się w okolice nieuprawioną, którą im często wskazywano. Wyrok taki opiewał: „Szczury, gąsienice, ślimaki, i wy wszystkie plugawe zwierzęta, które niszczyacie plon naszych braci, oddalcie się z okręgów, które spustoszycie, i schrońcie się do takich, gdzie nikomu szkodzić nie możecie.“ Jeżeli podejrzewano, że złoczyńców podlegał szatan, dodawano kłatwę do wyroku. Oprócz tego naznaczano jeszcze termin, do któ-

rego rozkaz musiał być wypełniony. W wypadkach nagłych skazywano owady na niezwłoczne opuszczenie miejsca. Zwykle jednak zostawiano im od trzech godzin do trzech dni czasu. Często poprzedzało wyrok upomnienie, ażeby zaprzestały pustoszenia lub opuściły kraj, i by owady nie mogły tłumaczyć się niewiadomością, ogłaszali to napomnienie lub wyrok w całym kraju woźni sądowi przy odgłosie trąb lub bębnow.

Podobne procesa zdarzały się od XIV aż do XVIII w. bardzo często. Niektóre z nich są bardzo ciekawe, jak np. proces wytoczony muchom hiszpańskim, które uszkodziły znaczną część elektorstwa mogunckiego. Sędzia miejscowy nazначzył im „ze względu na ich maluczkosć i młodość“ kuratora i obrońcę. Ten bronił ich sprawy bardzo gorąco. Niezaprzeczał wprawdzie wcale wyrządzonej szkody, ale składał ją na konieczność i żądał, ażeby klientom jego wyznaczono terytorium, gdzieby mygli żyć uczciwie nie szkodząc drugim. Żądanie jego zostało wysłuchane, i „dziś jeszcze“ — powiada pismo z owych czasów — „zawierają mieszkańcy tej okolicy ugodę z rzeczonymi muchami hiszpańskimi, odstępując im pewną okolicę tak rozległą, że chrząszcze te poprzestają na niej i nie usiłują już przekraczać umówionych granic.“

W St. Julien-de-Maurinne, gdzie rodzaj poczwerek pustoszył winnice, kazali mieszkańcy swemu adwokatowi naznaczyć owadom okolicę, do której miały ustąpić, grożąc im w przeciwnym razie całą surowością prawa. Obróńca jednak owadów odrzucił ten wniosek, dowodząc, że klienci jego nie mogliby żyć na tem terytorium, i z tego powodu delegowano znawców do zbadania kraju.

Podobny proces toczył się w trybunale biskupim w Lausanne. Również wytaczano procesa sądowe wróblom, że obrały sobie dach kościoła na mieszkanie i wrzawą swoją zakłócały nabożeństwo; pijawkom, że psuły wodę jeziora lemańskiego i przyprawiły przeto o śmierć ryby; gołębiom, że robiły spustoszenia w Kanadzie; mrówkom w Brazylii i w Peru itp.

Najczęściej jednak skazywano ślimaki, muchy, szarańcze, gąsienice i „huwebry“, rodzaj owadu, niszczącego najbardziej winnice. Szczególnie Burgundya ucierpiała wiele od tych „huvebrów.“ Ostatni proces tego rodzaju odbył się w pierwszych latach XVIII stulecia. Wytoczono go poczwarkom, które zniszczyły niwy miasteczka Pont-Chateau w Auvergnii, i jak zwykle kazano im wynieść się do nieuprawionej okolicy.

Co do procesów kryminalnych przeciw zwierzętom, które mogły być pojmane, wytaczano ich najczęściej nierogaciznie za dzieciobójstwo. Ponieważ w średnich wiekach dozwolano nierogaciznie chodzić swobodnie wszędzie po wsiach i po miastach, przeto zdarzało się dość często, że zwierzęta te pożerały małe dzieci. Winowajcę uwięziono najprzód w miejscu, gdzie proces miał się odbywać. Potem wnosił prokurator czyli publiczny oskarżyciel, ażeby więźniowi wytoczony został proces. Po wysłuchaniu świadków stawał oskarżyciel swój wniosek co do kary, a sędzia uznawał zwierzę winnem mordu i skazywał je najprzód na uduszenie a następnie na obwieszenie za obie tylne łapy na dębie, albo też podług panującego zwyczaju na szubienicy. W wyrokach tego rodzaju znajduje się pomiędzy

innemi „zważywszy“ także to, „że oskarżony był obecnym przy rozprawie sądowej i nie wnosił żadnego protestu.“

Egzekucya odbywała się publicznie i uroczystie. Niekiedy wiedziano zwierzę w sukniach na miejsce tracenja. Tak w r. 1386 wydał sędzia w Falaise wyrok na bezroge, ażeby najprzód zraniono ją w łapę i w głowę, a potem zwolna powieszono dlatego, ponieważ najprzód skaleczyła dziecku rękę i twarz, a potem je zabiła. Było to prawo odwetu, użyte z całą surowością. Winowajca stracony został w ubiorze męzkim na placu targowym, i egzekucya ta kosztowała 10 sous i 10 denarów, prócz pary nowych rękawiczek dla oprawcy.

Woły, konie, osły, jeżeli popełniły zbrodnię morderstwa na człowieku, bywały w taki sam sposób sądzone i tracone. Zwierzęta zaś oskarżone o to, iż towarzyszyły swoim panom na festyny diabelskie, jak capy, kozy, koty itp., palono wraz z nimi na tym samym stosie; jednak duszono je zwykle przed wrzuceniem w ogień, gdy przeciwnie czarownikom prawie nigdy nie wyświadczano tej łaski.

W Szwajcaryi palono także kogutów. Jeszcze z czasów pogańskich utrzymywało się między ludem, i to nietylko w Szwajcaryi, mniemanie, że czarne koguty znoszą jaja, z których po siedmiu miesiącach lub latach wylęgają się węże albo też bazyliuszki. Jeżeli więc koguta spotkało to nieszczęście, że spadł w takie podejrzenie, skazywano go bez miłosierdzia na stos wraz z przypisywanem mu jajem. Tak spalono w r. 1474 takiego koguta w Bazylei publicznie z jego jajem.

Od drugiej połowy XVI wieku niema już jednak przykładu, by zwierzęta stawiono osobiście przed sądem; ale dopiero w półtora wieku później przestano wytaczać procesa owadom i innemu szkodliwemu robactwu. Prawda, że już dawno przedtem udowodnili światli prawnicy zupełną bezużyteczność podobnych procesów; ale czyż nie działo się to samo i z innymi przesądami? Walka z nimi jest zawsze długa i ciężka, i śmieie rzecz można, że łatwiej wprowadzić w życie dziesięć ustaw mądrych, niż usunąć jeden zwyczaj głupi, zakorzeniony od wieków.

(Treść do komedyi). W jednym z pensjonatów klasztornych w Paryżu zawiązał się tak ścisły stosunek przyjaźni między trzema równego prawie wieku pensyonarkami, że postanowiły nierozłączać się nigdy ze sobą. Ale jakże dotrzymać tego ślubu? Pe skończeniu nauk musi każda powrócić do domu, wyjdzie zapewne za mąż, i związek się rozerwie. Przemysliwały więc, jakby temu zapobiedz, i uradziły, że tylko wtedy nie potrzebywałyby się rozłączać, gdyby wszystkie trzy miały jednego męża. Ale to znowu rzecz niepodobna, gdyż prawodawstwo krajowe zabrania wielożeństwa. Ta nowa przeszkoda dręczyła je wielce, aż wreszcie najrozsądniejsza z nich wpadła na szczęśliwą myśl, że Sultana turecki mógłby najzupełniej zaspokoić je w tej mierze. Piszą więc list do niego, w którym przedstawiając mu ścisłą przyjaźń swoją i obawę rozłączenia się donoszą, że wybrały go sobie za wspólnego męża, i dodają, że po odbyciu najbliższej spowiedzi udadzą się do jego krajów i że potrzeba zatem, ażeby rozkazał przygotować wszystko na ich przybycie. Uradowane tym pomysłem pieczętują list i oddają na pocztę pod adresem: „Do W. Sultana w jego Seraju w Konstantynopolu“.

List taki jednakże musiał zwrócić na siebie uwagę na poczcie; przytrzymano go więc i oddano ministrowi policyi, i nazajutrz ubawił się wielce cały dwór tym komicznym wypadkiem. Ale nie koniec jeszcze na tem. Trzech młodych poruczników od gwardyi, z bardzo znakomitych famili, dowiedziawszy się o tem u dworu, postanowili zażartować sobie z naiwnych pensyonarek. Po niejakiem czasie więc przyniesiono do klasztoru niby z poczty list adresowany do nich ze stemplem tureckim i pieczęcią sultańską. Dziewczęta nie posiadały się z radości; Jego Sultańska Mość donosił im bowiem własnoręcznem pismem, że przyjmuje z największą przyjemnością ich wybór, że pragnie powitać piękne małżonki swoje jak najprędzej w Seraju, i że przeto wyprawia po nie z tym listem umyślne poselstwo, złożone z trzech najpierwszych dygnitarzy państwa, którzy mają być na ich usługi w ciągu podróży i oczekują każdej chwili ich rozkazów w ambasadzie tureckiej. (Nawiasem nadmienić tu potrzeba, że także ambasador turecki wciągnięty został do tego żartu). Wreszcie załącza Jego Sultańska Mość do listu trzy maleńkie amulety jedwabne, które mają służyć im za legitymację wobec tych posłów. Na liście znajdował się własnoręczny podpis Sultana, a obok była pieczęć z popiersiem jego.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie sprawiło to pismo na młodych przyjaciółkach. Najgorętsze życzenia ich zostały spełnione; nie ich już nie rozłączy, chyba śmierć tylko, a przytem będą żonami cesarza! Potrzebowały się namyślać jeszcze? Czemu prędzej też przywdziały najpiękniejsze swoje sukienki, pomodliły się jeszcze razem, a w godzinę potem wymknąwszy się cichaczem z klasztoru były już w ambasadzie tureckiej. Potrzebujemy mówić, że zastały tam rzeczywiście trzech młodych i przystojnych muzułmanów (naszych znajomych gwardzistów), którzy przedstawili im się jako posłowie Sultana? Każdy z nich ofiarował zaraz jednej swoje usługi, a że dziewczęta były piękne i wesołe, a posłowie umieli się przypodobać, więc łatwo się domyśleć, że obie strony zaczynały stopniowo znachodzić coraz większą przyjemność w tem zbliżeniu się do siebie. Dodajmyż do tego jeszcze wykwinną ucztę, którą miano posilić się niby do podróży, a w ciągu której zachwyceni posłowie obsypywali tysiącem grzeczności swoje rzekome Sultanki, a nikt pewno nie zdziwi się, że w końcu zapomniano jakoś o owych dziewiczych ślubach przyjaźni, i że każdej z przyjaciółek przypadało jakoś więcej do gustu, mieć dla siebie samej osobnego męża, choćby posła tylko, niżli dzielić się z przyjaciółkami jednym, chociażby Sultaniem. Podobne życzenie ozwało się także w sercach owych młodych trzpiotów, i czyż nie domyślasz się szanowny czytelniku, jak się skończyła cała ta komedia? Oto w sposób najmilszy wszystkim matkom, mającym córki na wydaniu, gdyż improwizowani posłowie Sultana oświadczyli się rodzicom pańien, zostali bez wahania przyjęci, i w kilka tygodni potem zamiast do Stambułu powiedli Sultanki swoje do ołtarza. Odtąd nazywają je też wszyscy Sultankami, a dalsza kronika nie wspomina nic o tem, by żałowały kiedy, iż dziewiczy ich węzeł przyjaźni tak prędko został rozerwany.

(Ile wart nos człowieka?) Pytanie to zostało roz-

strzygnięte, i to sądownie, z wszelką formalnością: wartość ludzkiego nosa równa się 5000 franków.

Pewien małżonek w południowej Francji odwiedzał co niedzieli swoją żonę i dzieci, mieszkające latem w pobliskiej wiosce. Dorożkarz, który go woził, wjechał przez nieostrożność na kupę kamieni, dorożka się przywróciła, i małżonek, poczciwy kramarz, złamał chrząstkę w nosie.

Wyleczono go wprawdzie z tego, ale nos przepadł! Oburzony poszedł do sądu i oskarżył dorożkarza. Sąd skazał obżalowanego na zapłacenie 1000 franków tytułem wynagrodzenia szkody. Poszkodowanemu wydał się ten wyrok niesprawiedliwym, i udał się przeto do innego sądu. Adwokaci obudwu stron wystąpili w szranki. obrońca dorożkarza twierdził, że w

takim wieku, kiedy się jest małżonkiem i ojcem, niema już nos wielkiej wartości; inna rzecz u młodzieńca, temu potrzeba piękności, ażeby mógł się dobrze ożenić, ale u starego małżonka to już mniejsza o nos.

Na to powstał rzecznik oskarżyciela dowodząc, że właśnie dla małżonka, a tem bardziej starszego, najważniejszą jest rzeczą mieć dobry nos, i domagał się najwyższego wynagrodzenia szkody.

Sąd wziął rzecz pod rozagę, i oświadczając się w końcu za zdaniem drugiego obrońcy skazał dorożkarza na zapłacenie wyżwspomnianej sumy. Nos człowieka wart jest przeto 5000 franków!

Z TEKI «CHOCHLIKA».



— Ależ Bolku, powiedz mi, co ty sobie myślisz!... Czemu się nie uczysz gramatyki, co z ciebie będzie, powiedz mi, co z ciebie będzie?...

— Ja mamuńciu będę posłem, bo papcio powiada, że posel nie potrzebuje umieć gramatyki.

Druga część „BEZIMIENNEJ“ jest już w handlu.